3 1761 08822333 4

H. Sienkiewicz

PISMA

LI

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LI

Korektę prowadził Dr. Kazimierz Nitsch.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S 5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM LI

KRZYŻACY

CZĘŚĆ III

Zofia Cybulska
486109
17.2.49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Ноября 1902 г.

KRZYŻACY

CZĘŚC TRZECIA

XIV.

Po rozmowie ze Zbyszkiem Jagienka przez trzy dni nie ukazywała się w Bogdańcu, atoli czwartego wpadła z wiadomością, że opat przyjechał do Zgorzelic. Maćko przyjął nowinę z pewnem wzruszeniem. Miał on wprawdzie z czego spłacić sumę zastawną, a nawet wyliczył, że dość mu zostanie na pomnożenie osadników, zaprowadzenie stad i inne potrzeby gospodarskie, niemniej jednak dużo w całej sprawie zależało od życzliwości bogatego krewnego, który mógł naprzykład chłopów, osadzonych przez się na źrebiach, zabrać albo zostawić i tem samem zniżyć albo powiększyć wartość majątku.

Wypytał zatem Maćko bardzo dokładnie Jagienkę o opata, jaki przyjechał: wesół, czy chmurny, co o nich mówił i kiedy zjedzie do Bogdańca? — ona zaś odpowiadała mu roztropnie na pytania, starając się pokrzepić go i uspokoić we wszystkiem.

Mówiła, iż opat przyjechał zdrów i wesół, ze znacznym pocztem, w którym prócz zbrojnych pacholków było kilku kleryków-wagantów i rybałtów, że pośpiewuje z Zychem i rad podaje ucha pieśniom nietylko duchownym, lecz i świeckim. Zauważyła też, że rozpytywał z wielką troskliwością o Maćka, a opowiadań Zychowych o przeprawach Zbyszka w Krakowie chciwie słuchał.

— Sami najlepiej wiecie, co wam czynić należy, — rzekła wkońcu mądra dziewczyna, — ale ja tak myślę, iże wypadałoby Zbyszkowi zaraz jechać, starszego krewnego powitać, nie czekając, aż on pierwszy do Bogdańca zjedzie.

Maćkowi trafiła ta rada do przekonania, więc kazał przywołać Zbyszka i rzekł mu:

— Przybierz się pięknie i pojedziesz pod nogi opata podjąć, cześć mu wyrządzić, aby i on cię umiłował.

Następnie zwrócił się do Jagienki:

— Nie dziwowałbym się, choćbyś była głupia, boś od tego niewiasta, ale że rozum masz, to się dziwuję. Powiedz-że mi, jako mam najlepiej opata ugościć i czem go ucieszyć, gdy tu przyjedzie?

— Co do jadła, sam powie, na co ma ochotę; lubi on dobrze podjeść, ale byle dużo było szafranu, to i nie przebredza.

Maćko, słysząc to, porwał się za głowę.

— Skąd ja mu szafranu wezmę!...

— Przywiozłam — rzekła Jagienka.

— A bogdaj się takie dziewki na kamieniu rodziły! — zawołał uradowany Maćko. — I ku oczom to miłe, i gospodarne, i roztropne, i ludziom życzliwe! Hej! żebym tak był młody, zarazbym cię brał!...

Na to Jagienka spojrzała nieznacznie na Zbyszka, i westchnąwszy cicho, mówiła dalej:

— Przywiozłam też i kości, i kubek, i sukno, bo on po każdem jedzeniu rad się kośćmi zabawia.

— Miał ten obyczaj i drzewiej, a gniewliwy przytem bywał okrutnie.

— Gniewliwy to on ci i teraz bywa; nieraz kubkiem o ziemię praśnie i precz za drzwi do pola wyskoczy. Ale potem śmiejący się wraca i sam pierwszy nad swoim gniewem wydziwia... Wy go przecie znacie... Jeno mu się nie przeciwić, to niema lepszego człowieka na świecie.

— A ktoby mu się tam sprzeciwiał, kiedy on i rozum ma od innych większy!

Tak to oni ze sobą rozmawiali, gdy tymczasem Zbyszko przybierał się w alkierzu. Wyszedł wreszcie tak piękny, że Jagienkę aż olśniło, zupełnie jak wówczas, gdy pierwszy raz przyjechał w swojej białej «jace» do Zgorzelic.

Ale tym razem zdjął ją głęboki żal na myśl, że ta jego uroda nie dla niej i że on inną umiłował.

Maćko zaś rad był, pomyślał bowiem, że opat pewno sobie Zbyszka upodoba i przy układach nie będzie czynił trudności. Ucieszył się nawet tą myślą tak dalece, iż postanowił jechać razem.

— Każ mi wymościć wóz; — rzekł do Zbyszka — mogłem jechać z Krakowa aże do Bogdańca z żeleźcem między żebrami, to mogę teraz bez żeleźca do Zgorzelic.

— Byle was nie zamroczyło — rzekła Jagienka.

— Ej, nic mi nie będzie, bo już czuję w sobie moc. A choćby mnie ta trochę i zamroczyło, będzie wiedział opat, jakom ku niemu śpieszył i tem hojniejszym się okaże.

— Milsze mi wasze zdrowie, niż jego hojność — ozwał się Zbyszko.

Lecz Maćko uparł się i postawił na swojem. Po drodze stękał trochę, nie przestawał jednak dawać Zbyszkowi nauk, jak się ma zachować w Zgorzelicach, szczególniej zaś zalecał mu posłuszeństwo i pokorę wobec możnego krewnego, który nigdy nie znosił najmniejszego oporu.

Przyjechawszy do Zgorzelic, znaleźli Zycha i opata na przyłapie, spoglądających przed się

na pogodny świat Boży i popijających wino. Za nimi pod ścianą siedziało rzędem na ławie sześciu pocztowych, w tem dwóch rybałtów i jeden pątnik, którego łatwo było rozeznać po zakrzywionym kiju, obońce u pasa i po małżowinach, naszytych na ciemnej opończy. Inni wyglądali na kleryków, albowiem głowy mieli z wierzchu pogolone, odzież jednakże nosili świecką, pasy z byczej skóry, a przy boku kordy.

Na widok Maćka, który zajechał na wozie, ruszył się żywo Zych, opat zaś, widocznie bacząc na swą duchowną godność, został na miejscu, począł tylko coś mówić do swoich kleryków, których jeszcze kilku wysypało się przez otwarte drzwi izby. Zbyszko i Zych wprowadzili pod ręce słabego Maćka na przyłap.

— Trocha jeszcze nie mogę, — rzekł Maćko, całując opata w rękę, — alem przyjechał, aby się wam, dobrodziejowi mojemu, pokłonić, za gospodarstwo w Bogdańcu podziękować i o błogosławieństwo poprosić, które grzesznemu człowiekowi najpotrzebniejsze.

— Słyszałem, żeście zdrowsi — rzekł opat, ściskając go za głowę, — i żeście się do grobu naszej nieboszczki królowej ofiarowali.

— Bo nie wiedząc, do którego świętego się udać, do niej się udałem.

— Dobrzeście uczynili! — zawołał zapalczywie opat — lepsza ona od innych i niechby jej który śmiał pozazdrościć!

I w jednej chwili gniew wystąpił mu na oblicze, policzki napłynęły krwią, oczy poczęły się iskrzyć.

Znali tę jego zapalczywość obecni, więc Zych począł się śmiać i wołać:

— Bij, kto w Boga wierzy!

Opat zaś odsapnął rozgłośnie, potoczył oczyma po obecnych, zaczem roześmiał się równie nagle, jak poprzednio wybuchnął, i spojrzawszy na Zbyszka, zapytał:

— A to wasz bratanek i mój krewniak?

Zbyszko pochylił się i ucałował go w rękę.

— Małego widziałem; nie poznałbym! — mówił opat. — Pokaż się jeno!

I począł go oglądać od stóp do głowy bystremi oczyma, a wreszcie rzekł:

— Zbyt urodziwy! panna to, nie rycerz!

Na to Maćko:

— Brali tę pannę Niemce w taniec, ale co ci ją który wziął, wnet się wykopyrtnął i już nie wstał.

— I kuszę bez pokrętki napnie! — zawołała nagle Jagienka.

Opat zwrócił się ku niej:

— A ty tu czego?!

Ona zaś zaczerwieniła się tak, że aż szyja i uszy jej stały się różowe i odrzekła ogromnie zmieszana:

— Bom widziała...

— Strzeż-że się, by cię przypadkiem nie ustrzelił; musiałabyś się bez trzy kwartały goić...

Na to rybałtowie, pątnik i «klerycy-waganci» wybuchnęli jednym gromkim śmiechem, od którego Jagienka stropiła się do reszty, tak, że opat ulitował się nad nią i podniósłszy ramię, ukazał jej olbrzymi rękaw swej sukni:

— Pochowaj się, dziewucho, — rzekł — bo ci krew z jagód tryśnie.

Tymczasem Zych usadził Maćka na ławie i kazał przynieść wina, po które skoczyła Jagienka. Opat zwrócił oczy na Zbyszka i począł tak mówić:

— Dość krotochwil! Nie dla sromoty ja cię do dziewki porównał, jeno z wesołości dla twojej urody, której i niejedna dziewka mogłaby pozazdrościć. Ale wiem, żeś chłop na schwał! Słyszałem i o twoich uczynkach pod Wilnem, i o Fryzach, i o Krakowie. Powiadali mi Zych o wszystkiem — rozumiesz!...

Tu począł patrzeć przenikliwie w oczy Zbyszka i po chwili ozwał się znowu:

— Iżeś trzy pawie czuby poprzysiągł, to ich sobie szukaj! Chwalebny to jest i Bogu miły

uczynek nieprzyjaciół naszego plemienia ścigać... Ale jeżeliś i co innego przytem ślubował, to wiedz, że cię tu na poczekaniu mogę od onych ślubów rozwiązać, bo takową moc mam.

— Hej! — rzekł Zbyszko — jak człowiek co Panu Jezusowi w duszy obiecał, to jakaż moc może go od tego rozwiązać?

Usłyszawszy to, Maćko spojrzał z pewną obawą na opata, lecz on widocznie był w wybornym humorze, gdyż zamiast wybuchnąć gniewem, pogroził wesoło palcem Zbyszkowi i rzekł:

— To ci mądrala! Bacz, by ci się nie przygodziło to, co Niemcowi Beyhardowi.

— A co mu się przygodziło? — spytał Zych.

— A spalili go na stosie.

— Za co?

— Bo gadał, że świecki człek potrafi tak samo tajemnice Boskie wyrozumieć, jako i osoba duchowna.

— Surowie ci go pokarali!

— Ale słusznie! — zagrzmiał opat — gdyż przeciw Duchowi Świętemu pobluźnił. Cóż to sobie myślicie! Może-li człek świecki co z tajemnic Boskich wymiarkować?

— Nijak nie może! — ozwali się zgodnym chórem wędrowni klerycy.

— A wy «szpylmany» cicho siedzieć!—rzekł

opat — boście też żadni duchowni, choć głowy macie pogolone.

— Nie szpylmany my już, ni golirdoże, jeno waszej miłości dworzanie — odpowiedział jeden z nich, zaglądając w tymże czasie do dużej konwi, od której zdaleka bił zapach słodu i chmielu.

— Patrzcie!... mówi, jakoby z beczki! — zawołał opat. — Hej, ty kudłaty! A czego do konwi zaglądasz? Łaciny tam na dnie nie znajdziesz.

— Ja też nie łaciny szukam, jedno piwa, którego nie mogę należć.

Opat zaś zwrócił się do Zbyszka, który ze zdziwieniem spoglądał na tych dworzan i rzekł:

— Wszystko to «clerici scholares», choć każdy wolał prasnąć książkę, a chycić lutnię i z nią włóczyć się po świecie. Przygarnąłem ich i żywię, bo cóż mam robić? Nicponie i powsinogi wierutne, ale umieją śpiewać i trochę służby Bożej liznęli, więc mam z nich przy kościele pożytek, a w potrzebie i obronę, bo niektórzy sierdzite pachołki! Ten tu pątnik prawi, że był w Ziemi Świętej, ale próżnobyś go pytał o jakowe morza, alibo kraje, bo on tego nawet nie wie, jak cesarzowi greckiemu na imię i w którem mieście mieszka.

— Wiedziałem — odrzekł ochrypłym gło-

sem pątnik — ale jak mnie wzięła frybra na Dunaju trząść, tak i wszystko wytrzęsła.

— Najbardziej się mieczom dziwuję — rzekł Zbyszko — bo takich nigdy u wędrownych kleryków nie widziałem.

— Im wolno — rzekł opat — gdyż nie mają święceń, a że ja także kord przy boku noszę, to nie dziwota. Rok temu pozwałem Wilka z Brzozowej na udeptaną ziemię o te bory, przez któreście przejeżdżali do Bogdańca. Nie stawił się...

— Jako-że miał duchownemu stawać? — przerwał Zych.

Na to zaperzył się opat, i uderzywszy pięścią w stół, zawołał:

— Gdym we zbroi, to ja nie ksiądz, jeno ślachcic!... A on nie stanął, bo mnie wolał z pachołkami nocą w Tulczy najechać. Ot, dlaczego kord przy boku noszę!... «Omnes leges omniaque iura vim vi repellere cunctisque sese defensare permittunt!» Ot, dlaczego i im dałem miecze.

Umilkli, zasłyszawszy łacinę, Zych, Maćko i Zbyszko i schylili głowy przed mądrością opata, gdyż żaden ni jednego słowa nie wyrozumiał; on zaś toczył jeszcze czas jakiś w około gniewnemi oczyma, a wreszcie rzekł:

— Kto go wie, czy on i na mnie nie napadnie?

— O wa! niech jeno napadnie! — zawołali wędrowni klerycy, chwytając za rękojeść mieczów.

— A niechby napadli! Cni się już i mnie bez bitki.

— Nie uczyni on tego — rzekł Zych — prędzej z pokłonem i zgodą przyjdzie. Borów się już wyrzekł, a o syna mu chodzi... Wiecie!... Ale niedoczekanie jego!

Tymczasem opat uspokoił się i rzekł:

— Młodego Wilka widziałem, jako pił z Cztanem z Rogowa w gospodzie w Krześni. Nie uznali nas z razu — było ciemno — i precz uradzali o Jagience.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— I o tobie.

— A oni czego odemnie chcieli?

— Oni od ciebie niczego nie chcieli, jeno nie po myśli im to, iż jest w pobliżu Zgorzelic trzeci. Tak tedy mówi Cztan do Wilka: «Jak mu skórę wygarbuję, to przestanie być gładki». A Cztan mówi: «Może się nas będzie bojał, a nie, to mu gnaty w mig połamię!» A potem poczęli się obaj upewniać, że się będziesz bojał.

Usłyszawszy to, Maćko spojrzał na Zycha, Zych na niego i oblicza obu przybrały wyraz chytry i radosny. Żaden nie był pewny, czy opat słyszał istotnie taką rozmowę, czy też

zmyśla dlatego jedynie, by Zbyszkowi dodać bodźca; natomiast rozumieli obaj, a zwłaszcza znając dobrze Zbyszka Maćko, że nie było na świecie lepszego sposobu, aby go popchnąć do Jagienki.

A opat, jakby umyślnie, dodał:

— I po prawdzie morowe to chłopy!...

Zbyszko zaś nie pokazał po sobie nic, tylko począł pytać Zycha jakimś, jakby nieswoim głosem:

— A to jutro niedziela?

— Niedziela.

— Na mszę świętą zaś pojedziecie?

— A no!...

— Dokąd? do Krześni?

— Bo najbliżej. Gdzieżbyśmy jechali?

— No, to dobrze!

XV.

Zbyszko, dogoniwszy Zycha i Jagienkę, jadących w towarzystwie opata i jego kleryków do Krześni, przyłączył się do nich i jechał razem, chodziło mu bowiem o to, by dowieść opatowi, że się ni Wilka z Brzozowej, ni Cztana z Rogowa nie lęka i chować się przed nimi nie myśli. Zdziwiła go znów w pierwszej chwili uroda Jagienki, bo chociaż nieraz widywał ją i w Zgorzelicach, i w Bogdańcu, przybraną pięknie do gości, ale nigdy tak, jak teraz do kościoła. Odzież miała z czerwonego sukna, podbitą gronostajami, czerwone rękawiczki i gronostajowy, naszyty złotem kapturek na głowie, z pod którego wysuwały się na ramiona dwa warkocze. Nie siedziała też na koniu po męsku, ale na wysokiem siodle z poręczą i z ławeczką pod stopy, które ledwie było widać z pod długiej i ułożonej w równe zagiętki spódnicy. Zychowi, który pozwalał dziewczynie ubierać się w domu w kożuch i jałowicze buty, chodziło

o to, by przed kościołem każdy poznał, iż przyjechała nie córka byle szarego włodyczki, albo ścierciałki [1]), lecz panna z możnego rycerskiego domu. W tym celu konia jej prowadziło dwóch wyrostków, przybranych od dołu obcisło, od góry w buchaste szaty, jakie nosili zwykle paziowie. Czterech dworskich ludzi jechało z tyłu, a z nimi opatowi klerycy z kordami i lutniami przy pasach. Zbyszko podziwiał wielce cały orszak, szczególnie zaś Jagienkę, wyglądającą jak obrazek i opata, który w czerwieni i z olbrzymimi rękawami u sukni wydawał mu się, jak jaki podróżujący książę. Najskromniej ze wszystkich przybrany był sam Zych, który dbał o okazałość dla innych, dla siebie zaś tylko o wesołość i śpiewanie.

Zrównawszy się, jechali w szeregu: opat, Jagienka, Zbyszko i Zych. Opat z początku kazał śpiewać nabożne pieśni swoim «szpylmanom», później atoli, mając ich dosyć, począł rozmawiać ze Zbyszkiem, który z uśmiechem spoglądał na jego potężny kord, niemniejszy od dwuręcznych niemieckich brzeszczotów.

— Widzę — rzekł z powagą — że cudujesz się nad moim mieczem; wiedz przeto, że synody zezwalają duchownym na miecze, a nawet na

---

[1]) Skartabella.

balisty i katapulty w podróży, my zasie jesteśmy w podróży. Wreszcie, gdy Ojciec Święty mieczów i czerwonych szat księżom zabraniał, to pewnikiem myślał o ludziach nizkiego stanu, ślachcica bowiem Bóg stworzył do broni i ktoby mu chciał ją odjąć, tenby się odwiecznym Jego wyrokom przeciwiał.

— Widziałem księcia mazowieckiego Henryka, który się w szrankach potykał — odrzekł Zbyszko.

— Nic to mu się też gani, że się potykał — odpowiedział, podnosząc w górę palec opat — ale to, że się ożenił i do tego nieszczęśliwie, albowiem fornicariam i bibulam wziął mulierem, która, jak mówią, Bacchum od młodości adorabat, a do tego i adultera była, z czego też nic dobrego wypaść nie mogło.

Tu aż zatrzymał konia i począł nauczać z większą jeszcze powagą:

— Ktolibo masz się żenić, czyli uxorem wybierać, masz baczyć, aby była bogobojna, dobrych obyczajów, gospodarna i ochędożna, co wszystko, oprócz Ojców Kościoła, jeszcze ci i pewien pogański mędrzec imieniem Seneka poleca. A jakoż uznasz, iżeś dobrze utrafił, jeśli nie znasz gniazda, z którego towarzyszkę dozgonną wybierasz? Albowiem inny mędrzec Pański powiada: Pomus nam cadit absque arbore... Jaki

wół, taka i skóra, jaka mać, taka i córa... Z czego bierz, grzeszny człowiecze, tę naukę, abyś nie w dalekości, ale w pobliżu żony szukał, bo jeśli złą i fryjowną dostaniesz, nieraz na nią zaplaczesz, jako płakał oto filozof, gdy mu swarliwa niewiasta aquam sordidam na głowę w gniewie wylała.

— In secula seculorum, amen! — zagrzmieli jednym głosem wędrowni klerycy, którzy odpowiadając tak zawsze opatowi, nie bardzo baczyli, czy odpowiadają do sensu.

Wszyscy słuchali w wielkiem skupieniu słów opata, dziwiąc się jego wymowie i biegłości w Piśmie, on zaś nie mówił rzekomo wprost do Zbyszka, owszem więcej zwracał się do Zycha i Jagienki, jakby szczególnie ich chciał zbudować. Jagienka jednak pojęła widocznie, o co chodzi, gdyż spoglądała pilnie z pod swoich długich rzęs na chłopaka, który namarszczył brew i spuścił głowę, niby głęboko rozważając to, co słyszał.

Po chwili orszak ruszył dalej, ale w milczeniu; dopiero gdy już Krześnię było widać, zmacał się opat po pasie, obrócił go ku przodowi, tak, aby łatwo było chwycić za rękojeść korda, i rzekł:

— A stary Wilk z Brzozowej pewnie z dobrym pocztem przyjedzie.

— Pewnie — potwierdził Zych — ale coś tam słudzy gadali, że zachorzał.

— A jeden z moich kleryków słyszał, że ma na nas nastąpić przed gospodą, po kościele.

— Nie uczyniłby on tego bez zapowiedzi i zwłaszcza po mszy świętej.

— Niech mu tam Bóg ześle upamiętanie. Ja wojny z nikim nie szukam i krzywdy cierpliwie znoszę.

Tu obejrzał się na swych «szpylmanów» i rzekł:

— Nie wydobywać mi mieczów i pamiętać, żeście duchowni słudzy, a dopiero, gdyby tamci pierwsi wydobyli, to w nich!

Zbyszko zaś, jadąc wedle Jagienki, wypytywał ją ze swej strony o sprawy, o które mu głównie chodziło.

— Cztana i młodego Wilka zastaniem niechybnie w Krześni — mówił. — Pokażesz mi ich zdaleka, abym wiedział, którzy są.

— Dobrze, Zbyszku — odrzekła Jagienka.

— Przed kościołem i po kościele zapewne cię oni spotykają. Coże wówczas robią?

— Służą mi, jako umieją.

— Nie będą ci dziś służyli, rozumiesz?

A ona odrzekła znów niemal z pokorą:

— Dobrze, Zbyszku.

Dalszą rozmowę przerwał im głos drewnia-

nych kolatek, gdyż w Krześni nie było jeszcze dzwonów. Po chwili dojechali. Z tłumów, czekających na mszę przed kościołem, wysunęli się natychmiast młody Wilk i Cztan z Rogowa, lecz Zbyszko uprzedził ich, zeskoczył z konia, nim zdołali dobiedz, i chwyciwszy pod boki Jagienkę, zsadził ją z siodła, poczem wziął za rękę, i spoglądając na nich wyzywająco, prowadził do kościoła.

W przedsionku kościelnym czekał ich nowy zawód. Obaj pospieszyli do kropielnicy, i obaj zanurzywszy w nią ręce, wyciągnęli je do dziewczyny. Lecz to samo uczynił Zbyszko, ona zaś dotknęła jego palców, a następnie przeżegnała się i z nim razem weszła do kościoła. Wtedy nie tylko młody Wilk, ale i Cztan z Rogowa, chociaż miał rozum miałki, domyślił się, iż to wszystko było uczynione umyślnie, i obydwóch ogarnął gniew tak dziki, że aż włosy poczęły się im jeżyć pod pątlikami. Zachowali zaledwie tyle przytomności, że w gniewie nie chcieli, bojąc się kary Boskiej, wchodzić do kościoła; natomiast Wilk wypadł z przedsionka i leciał, jak szalony przez cmentarz między drzewami, sam nie wiedząc dokąd. Cztan leciał za nim, także nie wiedząc, w jakim to czyni celu.

Zatrzymali się aż w rogu parkanu, gdzie leżały wielkie, kamienie przygotowane pod fun-

damenta dzwonnicy, którą miano stawiać w Krześni. Tam Wilk, chcąc spędzić złość, która burzyła mu się aż pod szyję w piersiach, chwycił za jeden z głazów i jął nim potrząsać ze wszystkich sił, co widząc Cztan, chwycił go także i po chwili poczęli obaj toczyć go ze wściekłością przez cały cmentarz, aż ku wrotom kościelnym.

Ludzie patrzyli na nich ze zdziwieniem, mniemając, że uczynili ślub jakowyś i że w ten sposób chcą się do budowy dzwonnicy przyczynić. Lecz im wysiłek ów ulżył znacznie, tak, że oprzytomnieli obaj, stali tylko bladzi z natężenia, sapiąc i spoglądając na się niepewnym wzrokiem.

Milczenie przerwał pierwszy Cztan z Rogowa.

— No i co? — spytał.

— A co? — odpowiedział Wilk.

— Zaraz-li go napadniem?

— Jako-że w kościele będziesz napadał?

— Nie w kościele, jeno po mszy.

— Z Zychem jest i z opatem. A toś zabaczył, co mówił Zych, że niech-li się zdarzy bitka, obydwóch ze Zgorzelic wyżenie. Gdyby nie to, byłbym ci dawno żebra połomił.

— Albo ja tobie! — odparł Cztan, ściskając swe potężne pięści.

I oczy poczęły im się skrzyć złowrogo, lecz wnet pomiarkowali obaj, że teraz więcej im potrzeba zgody, niż kiedykolwiek. Nieraz już oni bili się z sobą, lecz zawsze jednali się po bitce, bo chociaż rozdzielała ich miłość do Jagienki, jednak żyć bez siebie nie mogli i tęsknili jeden do drugiego zawsze. Obecnie zaś mieli wspólnego wroga i czuli obaj, że jest to wróg okrutnie niebezpieczny.

Po chwili zatem Cztan spytał:

— Co robić? Chyba mu zapowiedź posłać do Bogdańca?

Wilk, który był mądrzejszy, nie wiedział jednakże na razie, co robić. Na szczęście przyszły mu w pomoc kołatki, które ozwały się znowu na znak, iż nabożeństwo się poczyna. Więc rzekł:

— Co robić? Pójść na mszę, a potem będzie, co Bóg da.

Ucieszył się z tej rozumnej odpowiedzi Cztan z Rogowa.

— Może ta Pan Jezus nas natchnie — rzekł.

— I pobłogosławi — dodał Wilk.

— Po sprawiedliwości.

I poszli do kościoła, a wysłuchawszy pobożnie nabożeństwa, nabrali otuchy. Nie stracili głów nawet wówczas, gdy Jagienka po mszy w przedsionku znowu przyjęła wodę święconą

z ręki Zbyszka. Na cmentarzu przy wrotach podjęli pod nogi Zycha, Jagienkę, a nawet i opata, choć ten był nieprzyjacielem starego Wilka z Brzozowej. Na Zbyszka patrzyli wprawdzie z podełba, ale żaden nie warknął, chociaż serca skowytały im w piersiach z bólu, z gniewu i zazdrości, gdyż nigdy Jagienka nie wydawała im się tak cudną i tak do królewny podobną. Dopiero gdy świetny orszak ruszył z powrotem i gdy zdala doszła ich wesoła pieśń wędrownych kleryków, Cztan począł ocierać pot ze swych zarosłych policzków i parskać, jak koń, Wilk zaś ozwał się, zgrzytając zębami:

— Do gospody! do gospody! gorze mi...

Poczem, pamiętając, co im poprzednio ulżyło, chwycili znów głaz i potoczyli go zapalczywie na dawne miejsce.

Zbyszko zaś jechał wedle Jagienki, słuchając pieśni opatowych szpylmanów, lecz gdy ujechali pięć albo sześć stajań, zatrzymał nagle konia i rzekł:

— Ba, miałem dać na mszę za stryjkowe zdrowie i zabaczyłem: wrócę się.

— Nie wracaj! — zawołała Jagienka — poślem ze Zgorzelic.

— Wrócę, a wy nie czekajcie na mnie. Z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł opat. — Jedź!

I twarz mu poweselała, a gdy Zbyszko znikł im z oczu, trącił nieznacznie Zycha i rzekł:

— Rozumiecie?

— Co mam rozumieć?

— Pobije się w Krześni z Wilkiem i Cztanem, jako amen w pacierzu, ale tegom chciał i do tegom prowadził.

— To morowe chłopy! jeszcze go poranią i co z tego?

— Jakto co z tego? Jeśli za Jagienkę się pobije, to jakże mu potem o tej Jurandównie myśleć? Jagienka ci mu odtąd będzie panią, nie tamta; tego zaś chcę, bo to mój krewny i udał mi się!

— Ba, a ślubowanie?

— Na poczekaniu go rozgrzeszę! Zaliście nie słyszeli, żem to już obiecał?

— Wasza głowa na wszystko poradzi — odrzekł Zych.

Opat uradował się pochwałą, poczem przysunął się do Jagienki i zapytał:

— Czegożeś taka frasobliwa?

Ona pochyliła się w siodle, i chwyciwszy rękę opatową, podniosła ją do ust:

— Ojcze krzestny, a możebyście też podesłali z paru «szpylmanów» do Krześni.

— Po co? Popiją mi się w gospodzie i tyla.

— Ale może jakowej zwadzie przeszkodzą.

Opat spojrzał jej bystro w oczy i nagle rzekł ostro:

— A choćby go tam i zabili!

— To niech i mnie zabiją! — zawołała Jagienka.

I gorycz, która nagromadziła się z żalem w jej piersiach od czasu rozmowy ze Zbyszkiem, spłynęła teraz naglym potokiem łez. Widząc to, opat objął ramieniem dziewczynę, tak, że nakrył ją prawie całą swoim olbrzymim rękawem, i począł mówić:

— Nie bój się, córuchno, o nic. Zwada może się przygodzić, ale przecie i tamci są ślachtą, przeto go kupą nie napadną, jeno na pole rycerskim obyczajem pozwą, a już tam on da sobie rady, choćby się naraz z obydwoma miał potykać. A co do Jurandówny, o której słyszałaś, to ci jeno tyle rzekę, że drzewo na tamtą łożnicę w nijakim boru nie rośnie.

— Skoro mu tamta milsza, to i ja o niego nie dbam — odpowiedziała przez łzy Jagienka.

— To czegoż chlipiesz?

— Bo się o niego boję.

— Ot, babski rozum! — rzekł, śmiejąc się, opat.

Poczem, schyliwszy się do ucha Jagienki, począł mówić:

— Pomiarkuj się, dziewczyno, że choć cię

i weźmie, to też nieraz zdarzy mu się spotykać, bo od tego ślachcic.

Tu schylił się jeszcze niżej i dodał:

— A weźmie cię i to niezadługo, jako Bóg w niebie!

— Zaśby tam brał! — odpowiedziała Jagienka.

A jednocześnie poczęła się uśmiechać przez łzy i spoglądać na opata, jakby się go chciała zapytać, skąd to wie.

A tymczasem Zbyszko, wróciwszy do Krześni, zajechał wprost do księdza, chciał bowiem rzeczywiście dać na mszę za zdrowie Maćka, po załatwieniu zaś tej sprawy udał się wprost do gospody, w której spodziewał się znaleźć młodego Wilka z Brzozowej i Cztana z Rogowa.

Jakoż zastał obydwóch, a oprócz tego pełno ludzi—i szlachty, i skartabellów, i kmieciów, i kilku «sowizdrzałów», pokazujących rozmaite niemieckie sztuki. W pierwszej chwili nie mógł jednakże nikogo rozeznać, gdyż okna karczmy z błonami z wołowych pęcherzy mało przepuszczały światła — i dopiero gdy miejscowy pachołek dorzucił na komin szczypek sosnowych, ujrzał w kącie za łagwiami piwa włochaty pysk Cztana i srogą, zapalczywą twarz Wilka z Brzozowej.

Wtedy począł iść zwolna ku nim, roztrącając

po drodze ludzi, i doszedłszy, uderzył pięścią w stół, aż zagrzmiało w całej gospodzie.

A oni podnieśli się natychmiast i jęli śpiesznie przekręcać na sobie skórzane pasy, nim jednakże chwycili za rękojeści, Zbyszko rzucił na stół rękawicę, i mówiąc przez nos, jak mieli zwyczaj mówić rycerze przy wyzwaniu, ozwał się w następujące, niespodziane dla nikogo słowa:

— Pak-li-by który z was dwóch, albo z innych ludzi rycerskich, w izbie będących, przeciwił się temu, iże najcudniejsza i najcnotliwsza dziewka na świecie jest panna Danuta Jurandówna ze Spychowa, tego pozywam na walkę konną albo pieszą, do pierwszego klęknięcia, albo do ostatniego tchu.

Zdumieli się Wilk i Cztan, równie jak byłby zdumiał się opat, gdyby coś podobnego usłyszał — i przez chwilę słowa nie mogli przemówić. «Co to za panna? Im przecie o Jagienkę, nie o nią chodziło?... a jeśli temu żbikowi nie o Jagienkę idzie, to czego od nich chce? Czemu ich rozsierdził przed kościołem? Po co tu przyszedł i po co szuka z nimi zaczepki?» Od tych pytań zrobiła im się w głowie taka kasza, że pootwierali szeroko usta, Cztan zaś wytrzeszczył tak oczy, jakby nie człowieka, ale jakby jakieś dziwo niemieckie miał przed sobą.

Lecz bystrzejszy Wilk, który znał nieco ry-

cerskie zwyczaje i wiedział, że nieraz innym niewiastom rycerze służby ślubują, a z innemi się żenią, pomyślał, że i w tym wypadku tak być może i że gdy zdarza się taka sposobność ujęcia się za Jagienką, to należy w lot z niej skorzystać.

Więc wysunął się z za stołu, i zbliżywszy się ze złowrogą twarzą do Zbyszka, zapytał:

— Jakto, psubracie, to nie Jagienka Zychowna najcudniejsza?

Za nim wysunął się Cztan, a ludzie poczęli się wokół nich kupić, bo już wszystkim było wiadomo, że się to na byle czem nie skończy.

XVI.

Jagienka, wróciwszy do domu, wysłała natychmiast parobka do Krześni, aby dowiedział się, czy w gospodzie nie zaszła jakowaś bitka, albo czy kto kogo nie wyzwał. Ten jednakże, dostawszy na drogę skojca, począł pić z księżymi sługami i nie myślał o powrocie. Drugi, wysłany do Bogdańca, który miał zapowiedzieć Maćkowi przyjazd opata, wrócił, spełniwszy polecenie, i zarazem oznajmił, że widział Zbyszka, zabawiającego się ze starym dziedzicem w kości.

Uspokoiło to w części Jagienkę, wiedząc bowiem o doświadczeniu i sprawności Zbyszkowej, nietyle bała się dla niego wyzwania, ile jakowejś doraźnej ciężkiej przygody w karczmie. Miała też ochotę razem z opatem jechać do Bogdańca, ale ów sprzeciwił się temu, pragnął bowiem rozmówić się z Maćkiem w sprawie zastawu i w innej, jeszcze ważniejszej, przy której nie chciał mieć za świadka Jagienki.

Zresztą wybierał się na noc. Dowiedziawszy

się o szczęśliwym powrocie Zbyszka, wpadł w wyborny humor i kazał swoim klerykom-wagantom śpiewać i hukać tak, że aż się bór trząsł, a w samym Bogdańcu aż kmiecie wyglądali z chałup, patrząc, czy się nie pali, albo czy nieprzyjaciel nie nastąpił. Ale jadący naprzód pątnik z krzywą lagą uspakajał ich, iż to jedzie osoba duchowna wielkiej godności, więc kłaniali mu się, a niektórzy nawet kładli na piersi znak krzyża; on zaś, widząc, jak go szanują, jechał w dumie radosnej, rad ze świata i pełen dla ludzi życzliwości.

Maćko i Zbyszko, zasłyszawszy krzyki i śpiewy, wyszli aż do wrót na jego spotkanie. Niektórzy z kleryków bywali już z opatem w Bogdańcu, ale byli i tacy, którzy, przyłączywszy się niedawno do kompanii, nie widzieli go dotychczas nigdy. Tym upadły serca na widok nędznego domu, który nie mógł iść w porównanie z obszernem dworzyszczem w Zgorzelicach. Skrzepił ich jednakowoż widok dymu, dobywającego się przez słomiane poszycie dachu, a zwłaszcza nabrali całkiem otuchy, gdy wszedłszy do izby, poczuli zapach szafranu i rozmaitych mięsiw, a zarazem spostrzegli dwa stoły, pełne cynowych mis, jeszcze wprawdzie pustych, ale tak ogromnych, iż każde oczy musiały powesełeć na ich widok. Na mniejszym

stole świeciła przygotowana dla opata misa, cała srebrna i takaż, cudnie rzeźbiona łagiewka, obie zdobyte razem z innymi skarbami na Fryzach.

Maćko i Zbyszko poczęli zaraz prosić do stołu, lecz opat, który był dobrze podjadł na odjezdnem w Zgorzelicach, odmówił, tembardziej, że zajmowało go co innego. Od pierwszej chwili przybycia spoglądał on bacznie, a zarazem niespokojnie na Zbyszka, jakby chciał śladów bitki na nim dopatrzyć, widząc zaś spokojną twarz młodzianka, niecierpliwił się widocznie, aż wreszcie nie mógł już dłużej ciekawości swej pohamować.

— Pójdźmy do alkierza — rzekł — o zastawie uradzać. Nie przeciwcie się, bo się zgniewam!

Tu zwrócił się do kleryków i zagrzmiał:

— A wy, cicho mi siedzieć i pode drzwiami nie podsłuchywać!

To rzekłszy, otworzył drzwi do alkierza, w które zaledwie mógł się pomieścić, i wszedł, a za nim weszli Zbyszko i Maćko. Tam, gdy siedli na skrzyniach, opat zwrócił się do młodego rycerza.

— Byłeś z nawrotem w Krześni? — zapytał.

— Byłem.

— No i co?

— A dałem na mszę za stryjowe zdrowie i tyla.

Opat poruszył się niecierpliwie na skrzyni.

— Ha! — pomyślał — nie spotkał się ni z Cztanem, ni z Wilkiem; może ich nie było, a może ich nie szukał. Omyliłem się.

Ale zły był, że się pomylił i że go wyrachowanie zawiodło, więc zaraz poczerwieniało mu oblicze i począł sapać.

— Gadajmy o zastawie! — rzekł po chwili. — Macie pieniądze?... bo jak nie, to dziedzina moja!...

Na to Maćko, który wiedział, jak z nim postępować, podniósł się w milczeniu, otworzył skrzynię, na której siedział, wydobył z niej przygotowany już widocznie worek z grzywnami i rzekł:

— Ubodzyśmy ludzie, ale pieniądze mamy i co się należy, to płacimy, jako stoi w «liście» i jakom znakiem krzyża świętego sam poświadczył. Jeżelibyście zasie chcieli jeszcze za porządki i za dobytek dopłaty, to też nie będziem się sprzeczali, jeno zapłacim, co każecie, i pod nogi was, dobrodzieja naszego, podejmiem.

To rzekłszy, pochylił mu się do kolan, a za nim uczynił też to samo Zbyszko. Opat, który spodziewał się sporów i targów, wielce był takiem postępowaniem zaskoczony, a nawet i nie-

całkiem rad, gdyż przy targach chciał stawiać różne swoje warunki, a tymczasem sposobność ominęła.

Więc oddając «list», czyli kwit zastawny, na którym Maćko był znakiem krzyża podpisany, rzekł:

— Czego mi o dopłacie prawicie?

— Bo nie chcem darmoch brać — odpowiedział chytrze Maćko, wiedząc, że im więcej będzie się w tym wypadku sprzeczał, tem więcej zyska.

Jakoż opat zaperzył się w mgnieniu oka:

— Widzicie ich! Nie chcą od krewnych darmoch brać! Chleb ludzi bodzie! Nie brałem pustki i nie oddaję pustki, a jak mi się spodoba i tym tu oto workiem prasnąć, to i prasnę!

— Tego nie uczynicie! — zawołał Maćko.

— Nie uczynię? Ot mi wasz zastaw! ot mi wasze grzywny! Dałem, bo moja łaska, a choćby mi wola była na gościńcu ostawić, to wam do tego nic. Ot, jak nie uczynię!...

To rzekłszy, porwał worek za zwitkę i grzmotnął nim o podłogę, aż z rozpękłego płótna posypały się pieniądze.

— Bóg zapłać! Bóg wam zapłać, ojcze i dobrodzieju! — począł wołać Maćko, który tylko czekał na tę chwilę. — Od innegobym nie wziął, ale od krewniaka i duchownego — wezmę!...

Opat zaś spoglądał czas jakiś groźnie to na niego, to na Zbyszka, wreszcie rzekł:

— Wiem ci ja, choć i gniewający się, co robię; zaczem trzymajcie, coście dostali, bo to wam też zapowiadam, że więcej jednego skojca nie uwidzicie.

— Nie spodziewaliśmy się i tego.

— Ale wiedzcie, że co po mnie zostanie, to weźmie Jagienka.

— I ziemię? — spytał naiwnie Maćko.

— I ziemię! — huknął opat.

Na to przedłużyła się Maćkowi twarz, ale opanował się i rzekł:

— Ej, co tam o śmierci myśleć! Niech wam Pan Jezus da sto lat, albo i więcej, a przedtem biskupstwo zacne.

— A choćby!... albo to ja gorszy od innych?— odrzekł opat.

— Nie gorszy, jeno lepszy.

Te słowa podziałały uspokajająco na opata, gdyż wogóle gniew jego był krótkotrwały.

— No — rzekł — wyście moi krewni, a ona tylko krześniaczka, ale ja miłuję i ją i Zycha od dawnych lat. Lepszego człeka, niż Zych, niema na świecie i lepszej dziewki, niż Jagienka, też! Co będzie miał kto na nich powiedzieć?

I począł toczyć wyzywającym wzrokiem,

lecz Maćko nie tylko nie przeczył, ale skwapliwie potwierdził, że godniejszego sąsiada próżnoby w całem królestwie szukać.

— A co do dziewki — rzekł — córki rodzonej więcejbym nie miłował, niźli ją miłuję. Za jej to przyczyną przyszedłem do zdrowia i tego jej do śmierci nie zapomnę.

— Potępieni będziecie i jeden i drugi, jeśli zapomnicie — rzekł opat — i pierwszy was za to przeklnę. Ja krzywdy waszej nie chcę, boście moi krewni, i dlatego wymyśliłem sposób, żeby to, co po mnie zostanie, było i Jagienkowe, i wasze; rozumiecie?

— Dałby Bóg, aby się to stało! — odrzekł Maćko. — Miły Jezu! piechtąbym poszedł od grobu królowej w Krakowie na Łysą górę, aby się drzewu Krzyża świętego pokłonić.

Uradował się opat szczerością, z jaką mówił Maćko, uśmiechnął się i rzekł:

— Dziewka ma prawo przebierać, bo i gładka, i wiano godne, i ród zacny! Co ta dla niej Cztan, albo Wilk, kiedy i wojewodziński syn nie byłby nadto. Ale niechbym tak ja, nie przymierzając, kogo zaswatał, toby za niego poszła, bo mnie miłuje i wie, że jej źle nie poradzę...

— Dobrze temu będzie, kogo zaswatacie — rzekł Maćko.

Lecz opat zwrócił się do Zbyszka:

— A ty co?

— Ano, ja tako myślę, jako i stryjko...

Zacne oblicze opata rozjaśniło się jeszcze bardziej; uderzył Zbyszka dłonią w łopatkę, aż się rozległo w alkierzu, i zapytał:

— Czemuś to przy kościele ni Cztana, ni Wilka do Jagienki nie dopuścił?... co?...

— By zaś nie myśleli, że się ich boję, i byście nie myśleli i wy.

— Ale i święconą wodę jej podałeś.

— A. podałem.

Opat uderzył go po raz drugi:

— To... ją bierz!

— Bierz ją! — zawołał, jak echo, Maćko.

Na to Zbyszko zagarnął pod siatkę włosy i odpowiedział spokojnie:

— Jako-że ją mam brać, kiedym ja przed ołtarzem w Tyńcu Danusi Jurandównie ślubował?

— Slubowałeś pawie czuby, to ich szukaj, a Jagienkę zaraz bierz.

— Nie — odrzekł Zbyszko; — po tem, jak na mnie nałęczką rzuciła, ślubowałem, że ją za żonę wezmę.

Twarz opata poczęła nabiegać krwią, uszy mu posiniały, a oczy poczęły wychodzić na wierzch; zbliżył się do Zbyszka i rzekł potłumionym przez gniew głosem:

— Twoje śluby plewa, a ja wiatr, rozumiesz! Ot!

I dmuchnął mu w głowę tak potężnie, że aż pątlik zleciał, a włosy rozsypały się w nieładzie po ramionach i plecach. Wówczas Zbyszko zmarszczył brwi, i patrząc opatowi wprost w oczy, rzekł:

— W mojem ślubowaniu moja cześć, a nad moją czcią ja sam stróża!

Usłyszawszy to, nieprzywykły do oporu opat stracił do tego stopnia dech, iż mowa była mu na czas jakiś odjęta. Nastało złowrogie milczenie, które przerwał wreszcie Maćko:

— Zbyszku! — zawołał — upamiętaj się! coć jest?

Opat tymczasem podniósł ramię, i wskazując młodzianka, począł krzyczeć:

— Co mu jest? Ja wiem, co mu jest: dusza w nim nie rycerska i nie ślachecka, jeno zajęcza. To mu jest, że się Cztana i Wilka boi!

A Zbyszko, który nie stracił ani na chwilę zimnej krwi, ruszył niedbale ramionami i odpowiedział:

— O wa! porozbijałem im łby w Krześni.

— Bój się Boga! — zawołał Maćko.

Opat patrzał czas jakiś na Zbyszka z wytrzeszczonemi oczyma. Gniew walczył w nim o lepszą z podziwem, a jednocześnie przyrodzony

bystry rozum począł mu przypominać, że z tego pobicia Wilka i Cztana może dla swych zamiarów korzyść wyciągnąć.

Więc, ochłonąwszy nieco, krzyknął na Zbyszka:

— Czemuś nie gadał?

— Bo mi było wstyd. Myślałem, że mnie pozwą, jako rycerzom przystało, na walkę konną, albo pieszą, ale to zbóje, nie rycerze. Pierwszy Wilk udarł deskę ze stołu, Cztan udarł drugą— i do mnie! To i cóżem miał robić? Chwyciłem ławę też, no... i wiecie!...

— Żywi aby? — zapytał Maćko.

— Żywi, jeno ich zamroczyło. Ale jeszcze przy mnie poczęli dychać.

Opat słuchał, tarł czoło, poczem zerwał się nagle ze skrzyni, na której był poprzednio przysiadł dla lepszego namysłu, i zawołał:

— Poczkaj!... Ja ci teraz coś powiem!

— A co powiecie? — zapytał Zbyszko.

— To ci powiem, że jeśliś ty się za Jagienkę bił i ludziom przez nią łby rozwalał, toś ty naprawdę jej rycerz, nie czyj inny, i musisz ją brać.

To rzekłszy, wziął się w boki i począł spoglądać tryumfalnie na Zbyszka, lecz ów uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Hej, dobrzem ja wiedział, dlaczegoście

chcieli mnie na nich napuścić, ale to wam zgoła chybiło.

— Czemu chybiło?... gadaj!

— Bo ja im kazał przyświadczyć, jako najgładsza i najcnotliwsza dziewka w świecie jest Danuśka Jurandówna, a oni właśnie ujęli się za Jagienką i z tego była bitwa.

Usłyszawszy to, opat stał przez chwilę na miejscu, jak skamieniały, i tylko po mruganiu oczyma można było poznać, że żyw jeszcze. Nagle zawrócił się na miejscu, wywalił nogą drzwi alkierza, wpadł do izby, tam chwycił krzywą lagę z rąk pątnika i począł nią okładać swoich «szpylmanów», rycząc przytem, jak ranny tur:

— Na koń, skomorochy! na koń, psiawiary! Noga moja w tym domu nie postanie! Na koń, kto w Boga wierzy! Na koń!...

I znów wywaliwszy drzwi, wyszedł na dziedziniec, a przerażeni klerycy-waganci za nim. Tak ruszywszy hurmem do szopy, poczęli w mig kulbaczyć konie. Próżno Maćko pogonił za opatem, próżno prosił, błagał, bożył się, że nie winien — nic nie pomogło! Opat klął, przeklinał dom, ludzi, pola, a gdy podano mu konia, skoczył na niego bez strzemion i puścił się w cwał z miejsca, z rozwianymi przez wiatr rękawami, podobny do olbrzymiego czerwonego ptaka. Kle-

rycy lecieli za nim w trwodze, nakształt stada, które podąża za przewodnikiem.

Maćko spoglądał czas jakiś za nimi, aż gdy znikli w boru, wrócił zwolna do izby i rzekł do Zbyszka, kiwając posępnie głową:

— Cóżeś ty najlepszego narobił!...

— Nie byłoby tego, gdybym był sobie wcześniej pojechał, a żem nie pojechał, to przez was.

— Jakto przeze mnie?

— Ba, bom nie chciał was chorych odjeżdżać.

— A teraz jako będzie?

— A teraz pojadę.

— Dokąd?

— Na Mazury, do Danuśki... i pawich czubów szukać, między Niemców.

Maćko pomilczał chwilę, poczem rzekł:

— «List» oddał, ale zastaw jest i w księdze sądowej zapisany. Nie daruje nam tera opat ni skojca.

— To niech nie daruje. Pieniądze macie, a ja na drogę nie potrzebuję. Przecie mnie wszędzie przyjmą i koniom dadzą żreć; a bylem miał pancerz na grzbiecie, a kord w garści, to i o nic nie dbam.

Maćko zamyślił się i począł rozważać wszystko, co się stało. Nic nie poszło po jego myśli, ni wedle jego serca. Sam on życzył so-

bie także z całej duszy Jagienki dla Zbyszka; zrozumiał jednak, że nie może być chleba z tej mąki i że wobec gniewu opata, wobec Zycha i Jagienki, wreszcie wobec bójki z Cztanem i Wilkiem lepiej, żeby sobie Zbyszko pojechał, niż żeby miał być dalszych niezgód i poswarków przyczyną.

— Ha! — rzekł wreszcie — łbów krzyżackich i tak musisz szukać, więc skoro niema innej rady, to jedź. Niech się ta stanie wedle woli Pana Jezusowej...: Ale mnie trzeba zaraz do Zgorzelic; może jako Zycha i opata przejednam... Zycha mi osobliwie żal.

Tu spojrzał w oczy Zbyszkowi i spytał nagle:

— A tobie Jagienki nie żal?

— Niechże jej Bóg da zdrowie i wszystko najlepsze! — odrzekł Zbyszko.

XVII.

Maćko czekał cierpliwie przez kilka dni, czy nie dojdzie go jaka wieść ze Zgorzelic, lub czy opat się nie udobrucha, aż wreszcie sprzykrzyła mu się niepewność i czekanie i postanowił sam wybrać się do Zycha. Wszystko, co się stało, stało się bez jego winy, chciał jednak wiedzieć, czy Zych nie czuje i do niego urazy, bo co do opata, był pewny, że gniew jego będzie odtąd ciążył i na Zbyszku i na nim.

Chciał jednak uczynić wszystko, co było w jego mocy, by ów gniew złagodzić, więc jadąc, rozmyślał i układał sobie, co komu w Zgorzelicach powie, aby urazę zmniejszyć i starą sąsiedzką przyjaźń zachować. Myśli jednak nie kleiły mu się jakoś w głowie, rad też był, że zastał samą Jagienkę, która przyjęła go po staremu pokłonem, ucałowaniem ręki — słowem: przyjaźnie, choć trochę smutno.

— A ojciec doma? — zapytał.

— Doma, jeno się wybrali z opatem na lowy. Malo patrzeć, jak wrócą...

To rzekłszy, wprowadziła go do izby, w której zasiadłszy, milczeli oboje przez dłuższą chwilę, poczem dziewczyna spytała pierwsza:

— Cni się wam samemu w Bogdańcu?

— Cni — odpowiedział Maćko. — A to już wiesz, że Zbyszko pojechał?

Jagienka westchnęła cicho:

— Wiem. Wiedziałam tego samego dnia i myślalam... że wstąpi, choć dobre słowo rzec, a nie wstąpił.

— Jakże mu bylo wstępować! — rzekł Maćko — toć opat chybaby go rozerwał na dwoje, a i ojciec twój nie radby go też widział.

Ona zaś potrząsnęła głową i odrzekła:

— Ej! Nie dałaby ja mu krzywdy uczynić nikomu.

Na to Maćko, choć serce miał hartowne, wzruszył się jednak, przyciągnął do się dziewczynę i rzekł:

— Bóg z tobą, dziewucho! Tobie smutek, ale i mnie smutek, bo to ci jeno rzekę, że ni opat, ni ociec rodzony nie miłują cię bardziej ode mnie. Niechbym był lepiej sczezł od tej rany, z której mnie wygoiłaś, byle on ciebie brał, nie inną.

A na Jagienkę przyszła taka chwila żalu

i tęsknoty, w której człowiek nie potrafi niczego w sobie zataić — i rzekła:

— Nie obaczę już ja go nigdy, a jeśli obaczę, to z Jurandówną, wolałabym zasię wpierw oczy wypłakać.

I podniósłszy końce fartucha, przesloniła nim oczy, które zaszły jej łzami.

A Maćko:

— Daj spokój! Pojechał-ci, bo pojechał, ale za łaską Boską z Jurandówną nie wróci.

— Co nie ma wrócić! — ozwała się z pod fartucha Jagienka.

— Bo mu Jurand nie chce dziewki dać.

Na to Jagienka odsłoniła nagle twarz i zwróciwszy się do Maćka, spytała żywo:

— Mówił mi! Ale prawda-li to?

— Prawda, jako Bóg na niebie.

— A czemu?

— Kto jego wie. Slubowanie jakieś, czy co, a na ślubowanie niema rady! Udał mu się Zbyszko, ile że mu obiecował do pomsty pomagać, ale i to nie pomogło. Na nic było i księżnej Anny swatanie. Ni prośby, ni namowy, ni rozkazania nie chciał Jurand słuchać. Powiadał, że nie może. No, i widać przyczyna takowa jest, że nie może, a to człek twardy, który tego, co rzekł, nie zmieni. Ty, dziewczyno, nie trać otuchy i pokrzep się. Po sprawiedliwości musiał

chłop jechać, boć te pawie grzebienie w kościele zaprzysiągł. Dziewka też go nałęczką przykryła na znak, że go chce za męża brać, bez co mu głowy nie ucięli; za to jej powinien — niema co gadać. Nie będzie, da Bóg, ona jego, ale on jest wedle prawa jej. Zych na niego krzyw, opat pewnikiem pomstuje, aże skóra cierpnie, mnie też gniewno, a wszelako pomiarkowawszy, co on miał robić? Skoro tamtej powinien, to i trza mu było jechać. Przecie jest ślachcic. Ale ci to jeno powiadam, że jeśli go tam gdzie Niemce godnie nie pokołaczą, to jak pojechał, tak i wróci — i wróci nietylko do mnie starego, nietylko do Bogdańca, ale do ciebie, bo cię strasznie rad widział.

— Gdzie on mnie ta rad widział! — rzekła Jagienka.

Ale jednocześnie przysunęła się do Maćka i trąciwszy go łokciem, zapytała:

— Skąd wiecie? Co? Pewnie nieprawda?...

— Skąd wiem? — odrzekł Maćko. — Bo widziałem, jak mu ciężko było odjeżdżać. I jeszcze było tak, że jak już stanęło na tem, że ma jechać, tak pytam ja go: «A nie żal ci też Jagienki?» — a on prawi: «Niechże jej Bóg da zdrowie i wszystko najlepsze». I tak ci zaraz wziął wzdychać, jakby miał kowalski miech w brzuchu...

— Pewnie nieprawda!... — powtórzyła ciszej Jagienka — ale powiadajcie jeszcze...

— Jak mi Bóg miły, prawda!... Już mu tamta nie będzie tak po tobie smakować, bo to i sama wiesz, że jędrniejszej a zaś urodziwszej dziewki na całym świecie nie znaleźć. Czuł on do ciebie wolę Bożą, nie bój się, może i więcej, niż ty do niego.

— Bogać tam! — zawołała Jagienka.

I pomiarkowawszy, co w prędkości wyrzekła, zakryła znów rumianą, jak jabłko, twarz rękawem, a Maćko uśmiechnął się, pociągnął ręką po wąsach i rzekł:

— Hej, żeby ja młody! Ale ty się pokrzep, bo już widzę, jako będzie: Pojedzie, ostrogi na dworze mazowieckim zyszcze, gdyż tam granica blizko i o Krzyżaka nie trudno... Jużci wiem, że między Niemcami bywają tędzy rycerze, a żelazo od jego skóry nie odskoczy, ale tak myślę, że byle który rady mu nie da, bo to jucha do bitki okrutnie sprawna. Patrz-że, jako Cztana z Rogowa i Wilka z Brzozowej w mig potarmosił, choć to przecie, mówią, chłopy na schwał i mocarne jak niedźwiedzie. Przywiezie on swoje czuby, jeno Jurandówny nie przywiezie, bo i ja gadałem z Jurandem i wiem, jako jest. No, a potem co? Potem tu wróci, bo gdzieżeby miał wracać.

— Kiedy tam wróci?

— Ba! jeśli nie wytrzymasz, to ci nie będzie krzywdy. Ale tymczasem powtórz opatowi i Zychowi to, co ci mówię. Niechby ta w gniewie na Zbyszka choć trochę pofolgowali.

— Jako-że mam mówić? Tatuś więcej frasobliwi, niż gniewni, ale przy opacie i wspomnieć o Zbyszku nieprzezpiecznie. Dał ci on i mnie i tatusiowi za tego pachołka, którego Zbyszkowi posłałam.

— Za jakiego pachołka?

— Wiecie... Był tu u nas Czech, co go tatuś pojmali pod Bolesławcem, dobry pachołek i wierny. Wołali na niego Hlawa. Tatuś mi go dali do posług, bo się powiadał tamtejszym włodyką, a ja dałam ci mu zbroiczkę godną i posłałam go Zbyszkowi, aby mu służył i strzegł go w przygodzie, a broń Boże czego, żeby dał znać... Dałam ci mu i trzosik na drogę, a on zaprzysiągł mi na zbawienie duszy, że do śmierci będzie Zbyszkowi wiernie służył.

— Mojaż ty dziewczyno! Bóg ci zapłać! a Zych się nie przeciwił?

— Co się nie miał przeciwić! Zrazu całkiem tatuś nie pozwalali, dopiero jak wzięłam go pod nogi podejmować, tak i stanęło na mojem. Z tatusiem nijakiego kłopotu niemasz, ale jak opat zwiedział się o tem od swoich skomorochów,

w mig pełniuśką izbę naklął i taki był sądny dzień, że tatuś do stodół uciekli. Dopiero wieczorem ulitował się opat moich łez i jeszcze mi paciorki podarował... Ale ja rada byłam pocierpieć, byle Zbyszko poczet miał większy.

— Jak mi Bóg miły, tak nie wiem, czy więcej jego miłuję, czy ciebie, ale on i tak poczet wziął zacny i pieniędzy też mu dałem, choć nie chciał... No, Mazury przecie nie za morzem...

Dalszą rozmowę przerwało im ujadanie psów, okrzyki i odgłosy trąb mosiężnych przed domem. Usłyszawszy to, Jagienka rzekła:

— Tatuś i opat wrócili z łowów. Pójdźmy na przyłap, bo lepiej, żeby was opat pierwej zdaleka uwidział, nie zaś znienacka w izbie.

To rzekłszy, wyprowadziła Maćka na przyłap, z którego ujrzeli w podwórzu na śniegu kupę ludzi, koni, psów, a zarazem pobodzone oszczepami lub postrzelone z kuszy łosie i wilki. Opat, ujrzawszy Maćka, zanim jeszcze zsiadł z konia, cisnął w jego stronę oszczepem, nie dlatego wprawdzie, aby go ugodzić, ale by w ten sposób tem dowodniej swą zawziętość przeciw Bogdanieckim ludziom okazać. Lecz Maćko skłonił mu się zdala czapką, jak gdyby nic nie zauważył, Jagienka zaś nie zauważyła tego istotnie, gdyż przedewszystkiem zdumiała ją obecność dwóch jej zalotników w orszaku.

— Są Cztan i Wilk! — zawołała — musieli się w boru z tatusiem zdybać.

A Maćka aż zakłóło coś w dawnej ranie na ich widok. W lot przez głowę przebiegła mu myśl, że jeden z nich może dostać Jagienkę, a z nią Moczydoły, opatowe ziemie, bory i pieniądze... I żal wespół ze złością chwyciły go za serce, zwłaszcza, że po chwili ujrzał rzecz nową. Oto Wilk z Brzozowej, choć z jego ojcem chciał się niedawno opat potykać, skoczył teraz do jego strzemienia, aby mu pomódz zsiąść z konia, on zaś zsiadając, oparł się przyjaźnie na ramieniu młodego szlachcica.

— Pogodzi się opat ze starym Wilkiem takowym sposobem — pomyślał Maćko — że za dziewczyną odda bory i ziemie.

Lecz przerwał mu owe przykre myśli głos Jagienki, która w tej samej chwili rzekła:

— Wygoili się już po Zbyszkowem biciu, ale choćby tu co dnia przyjeżdżali, niedoczekanie ich!

Maćko spojrzał: twarz dziewczyny była rumiana zarówno z gniewu, jak i zimna, a modre jej oczy iskrzyły się gniewem, pomimo iż wiadomo jej było dobrze, że Wilk i Cztan za nią właśnie ujęli się w gospodzie i przez nią zostali pobici.

Więc Maćko rzekł:

— Ba! uczynisz, co opat każe.

A ona na to z miejsca:

— Opat uczyni, co ja zechcę.

«Miły Boże! — pomyślał Maćko — i ten głupi Zbyszko takiej dziewki odbieżał!»

XVIII.

A tymczasem «głupi Zbyszko» wyjechał był z Bogdańca istotnie z ciężkiem sercem. Naprzód było mu jakoś obco i nieswojo bez stryjca, z którym dotychczas od dawnych lat się nie rozłączał i do którego tak nawykł, że sam teraz dobrze nie wiedział, jak się bez niego i w podróży i na wojnie obejdzie. Powtóre żal mu było i Jagienki, bo chociaż mówił sobie, że jedzie do Danusi, którą miłował z całej duszy, jednakże bywało mu tak dobrze przy Jagience, iż teraz dopiero uczuł, jaka przy niej była radość, a jaki bez niej może być smutek. I aż sam się dziwił swojemu żalowi, a nawet się nim zaniepokoił, bo żeby to tęsknił po Jagience, jak brat tęskni po siostrze, nicby to było. Ale on spostrzegł, że mu się «cni» za tem, by ją przed się pod boki brać i na konia sadzać, albo z kulbaki zdejmować, by ją przez strugi przenosić, wodę jej z warkocza wykręcać, by z nią po

lasach chadzać i patrzyć na nią i «uradzać» z nią. Tak zaś do tego przywykł i takie mu to było miłe, że gdy teraz począł o tem myśleć, zaraz się zapamiętał i całkiem zapomniał, że w długą drogę aż na Mazury jedzie, a natomiast stanęła mu w oczach ta chwila, gdy Jagienka dała mu pomoc w lesie, gdy się z niedźwiedziem borykał. I zdało mu się, że to było wczoraj, jak również, że wczoraj chodzili na bobry do Odstajanego jeziorka. Nie widział jej przecie wówczas, gdy się wpław po bobra puściła, a teraz zdało mu się, że ją widzi — i zaraz poczęły go brać takie same ciągoty, jakie brały go parę tygodni temu, gdy wiatr nazbyt z Jagienkową suknią poswawolił. Potem zaś przypomniał sobie, jak jechała wspaniale przybrana do kościoła w Krześni i jak się dziwił, że taka prosta dziewczyna naraz wydała mu się niby dwornie jadące wysokiego rodu paniątko. Wszystko to sprawiło, że koło serca zaczęło mu się czynić jakoś bałamutnie, zarazem błogo i smutno i pożądliwie, a gdy jeszcze pomyślał, że byłby z nią mógł uczynić, co chciał, i jak ją też ku niemu ciągnęło, jak mu patrzyła w oczy i jak się do niego garnęła, to ledwie że na koniu mógł usiedzieć. «Niechbym jej był gdzie dopadł i choć pożegnał, a objął na drogę — mówił sobie — możeby mnie było popuściło», ale wnet uczuł,

że to nieprawda i że nie byłoby go popuściło, gdyż na samą myśl o takiem pożegnaniu poczęły mu skry po skórze chodzić, chociaż na świecie był przymrozek.

Aż wreszcie przestraszył się owych wspomnień, nazbyt do żądz podobnych i strząsnął je z duszy, jak suchy śnieg z opończy.

— Do Danuśki jadę, do mojej najmilejszej! — rzekł sobie.

I wraz zmiarkował, że to jest inne kochanie, jakby pobożniejsze i mniej po kościach chodzące. Powoli też, w miarę, jak w strzemionach marzły mu nogi, a chłodny wiatr studził mu krew, wszystkie myśli jego poleciały ku Danusi Jurandównie. Tej — to był naprawdę powinien. Gdyby nie ona, dawnoby jego głowa była spadła na krakowskim rynku. Przecie gdy wyrzekła wobec rycerzy i mieszczan: «Mój ci jest» — to go przez to samo katom z rąk odjęła i od tej pory on tak należy do niej, jak niewolnik do pana. Nie on ją brał, ale ona jego wzięła; na to żadne sprzeciwianie się Jurandowe nie poradzi. Ona jedna mogłaby go odpędzić, jako pani może sługę odpędzić, chociaż on i wówczas nie poszedłby daleko, bo go i własne ślubowanie wiąże. Pomyślał jednak, że ona go nie odpędzi, że raczej pójdzie za nim z mazowieckiego dworu, choćby na kraj świata — i pomyślaw-

szy to, począł ją wysławiać w duszy ze szkodą Jagienki, jakby to była wyłącznie jej wina, że go napastowały pokusy i że dwoiło się w nim serce. Nie przyszło mu do głowy teraz, że Jagienka wygoiła starego Maćka, a prócz tego, że bez jej pomocy byłby mu może niedźwiedź obdarł owej nocy ze skóry głowę — i burzył się przeciw Jagience rozmyślnie, sądząc, że tym sposobem Danusi się zasłuży i we własnych oczach się usprawiedliwi.

A wtem nadjechał Czech Hlawa, wysłany przez Jagienkę, prowadząc ze sobą wjucznego konia.

— Pochwalony! — rzekł, kłaniając się nizko.

Zbyszko widział go raz lub dwa w Zgorzelicach, ale go nie poznał, więc ozwał się:

— Pochwalony na wieki wieków. A coś za jeden?

— Wasz pachołek, slowutny panie.

— Jakto mój pachołek? Tamci moi pachołcy — rzekł, ukazując mu dwóch Turczynków, podarowanych mu przez Sulimczyka Zawiszę, i na dwóch tęgich parobków, którzy siedząc na mierzynach, prowadzili rycerskie ogiery — tamci moi, a ciebie kto przysłał?

— Panna Jagienka Zychówna ze Zgorzelic.

— Panna Jagienka?

Zbyszko dopiero co właśnie burzył się był

przeciw niej i serce jego pełne było jeszcze niechęci, więc rzekł:

— Wróć-że do dom i podziękuj pannie za łaskę, bo cię nie chcę.

Lecz Czech potrząsnął głową.

— Nie wrócę, panie. Mnie wam podarowali, a prócz tego ja zaprzysiągł do śmierci wam służyć.

— Jeśli mi cię podarowali, toś mój sługa.

— Wasz, panie.

— Więc rozkazuję-ć wrócić.

— Ja zaprzysiągł, a choć ja jeniec z pod Bolesławca i chudy pachołek, ale włodyczka...

A Zbyszko rozgniewał się:

— Ruszaj precz! Jakże to? Będziesz mi zaś przeciw mojej woli służył, czy co? Ruszaj, bo każę kuszę napiąć.

Czech zaś odtroczył spokojnie sukienną opończę, podbitą wilkami, oddał ją Zbyszkowi i rzekł:

— Panna Jagienka i to wam przysłała, panie.

— Chcesz, abych ci kości połomił? — zapytał Zbyszko, biorąc drzewce z rąk parobka.

— A jest i trzosik na wasze rozkazanie — odrzekł Czech.

Zbyszko zamierzył się drzewcem, lecz wspomniał, że pachołek, chociaż jeniec, jest jednakże z rodu włodyką, któren widocznie dlatego tylko

został u Zycha, że nie miał się za co wykupić, więc opuścił ratyszcze.

Czech zaś pochylił mu się do strzemienia i rzekł:

— Nie gniewajcie się, panie. Nie każecie mi ze sobą jechać, to pojadę za wami o stajanie, albo o dwa, ale pojadę, bom to na zbawienie duszy mojej zaprzysiągł.

— A jak cię każę ubić, albo związać?

— Jak mnie każecie ubić, to nie będzie mój grzech, a jak mnie każecie związać, to ostanę, póki mnie dobrzy ludzie nie rozwiążą, albo wilcy nie zjedzą.

Zbyszko nie odpowiedział, ruszył jeno koniem przed siebie, a za nim ruszyli jego ludzie. Czech z kuszą za plecami i z toporem na ramieniu wlókł się z tyłu, zatulając się w kosmatą skórę żubrzą, albowiem począł dąć ostry wiatr, niosący krupki śniegowe.

Nawałnica wzmagała się nawet z każdą chwilą. Turczynkowie, lubo w tołubach, kostnieli od niej, parobcy Zbyszkowi poczęli «zabijać» ręce, a on sam, będąc również przybrany nie dość ciepło, rzucił raz i drugi oczyma na wilczą opończę, przywiezioną przez Hlawę, i po chwili rzekł do Turczynka, aby mu ją podał.

I owinąwszy się w nią szczelnie, wkrótce poczuł ciepło, rozchodzące się po całem ciele.

Wygodny był szczególnie kaptur, który osłaniał mu oczy i znaczną część twarzy, tak, iż wicher przestał mu prawie dokuczać. Wówczas mimowoli pomyślał, że Jagienka to jednak poczciwa z kościami dziewka — i wstrzymał nieco konia, albowiem wzięła go chęć wypytać Czecha o nią i o wszystko, co się w Zgorzelicach działo.

Więc skinąwszy na pacholka, rzekł:

— Zali stary Zych wie, że cię panna do mnie wysłała?

— Wie — odpowiedział Hlawa.

— I nie przeciwił się?

— Przeciwił.

— Powiadajże, jako było.

— Pan chodził po izbie, a panna za nim. On krzyczał, a panienka nic, jeno co się ku niej nawrócił, to ona mu do kolan. I ani słowa. Powiada wreszcie panisko: «Czyś ogłuchła, że nic nie mówisz na moje przyczyny? Przemów, bo wreszcie pozwolę, a jak pozwolę, to mi opat łeb urwie!» Dopieroż panna pomiarkowała, że już na swojem postawi, i nuż z płaczem dziękować. Pan jej wymawiał, że go pozbadła, i narzekał, że we wszystkiem musi być jej wola, w końcu zaś rzekł: «Przyrzecz mi, że chyłkiem nie wyskoczysz żegnać się z nim, to pozwolę, inaczej nie». Dopieroż zafrasowała się panienka, ale przyrzekła i pan rad był, bo oni oba

z opatem okrutnie się tego bali, by jej nie przyszła chęć widzieć się z waszą miłością... No, nie na tem koniec, bo później panna chciała, by były dwa konie, a pan bronił, panna chciała wilczury i trzosika, pan bronił. Ale co tam z takich zakazowań! Żeby jej się umyśliło dom spalić, toby też panisko przystał. Dlatego jest drugi koń, jest wilczura i jest trzosik...

«Poćciwa dziewka!» — pomyślał w duchu Zbyszko.

Po chwili zaś zapytał głośno.

— A z opatem nie było biedy?...

Czech uśmiechnął się, jak roztropny pachołek, który zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół niego dzieje i odrzekł:

— Oni to oboje w tajemnicy przed opatem czynili, a nie wiem, co było, gdy się dowiedział, bom wcześniej wyjechał. Opat jako opat! — huknie czasem i na panienkę, ale potem to jeno oczyma za nią wodzi i patrzy, czyli jej zbyt nie pokrzywdził. Sam widziałem, jako ją raz skrzyczał, a potem do skrzyni poszedł, łańcuch przyniósł taki, że zacniejszego i w Krakowie nie dostać — i powiada jej: «na!» — Poradzi sobie ona i z opatem, gdyż i ojciec rodzony więcej jej nie miłuje.

— Pewnie, że tak jest.

— Jak Bóg na niebie...

Tu umilkli i jechali dalej wśród wiatru i śnieżnych krupów; nagle jednak Zbyszko powstrzymał konia, gdyż z pobocza leśnego ozwał się jakiś żałosny głos, nawpół przytłumiony przez szum leśny:

— Chrześcijanie, ratujcie Bożego sługę w nieszczęściu!

I jednocześnie na drogę wybiegł człowiek, przybrany w odzież nawpół duchowną, nawpół świecką, i stanąwszy przed Zbyszkiem, począł wołać:

— Ktokolwiek jesteś, panie, daj pomoc człowiekowi i bliźniemu w ciężkiej przygodzie!

— Coć się przytrafiło i coś zacz? — zapytał młody rycerz.

— Sługam Boży, chociaż bez święceń, a przygodziło mi się, iż dzisiejszego rana wyrwał mi się koń, skrzynie ze świętościami niosący. Zostałem sam, bez broni, a wieczór się zbliża i rychło czekać, jako luty zwierz ozwie się w boru. Zginę, jeśli mnie nie poratujecie.

— Jeślibyś z mojej przyczyny zginął — odrzekł Zbyszko — musiałbym za twoje grzechy odpowiadać, ale po czemże poznam, że prawdę mówisz i żeś nie powsinoga jakowyś, albo nie rzezimieszek, jakich wielu po drogach się włóczy?

— Po skrzyniach poznasz, panie. Niejeden oddałby trzos nabity dukatami, byle posiąść to,

co się w nich znajduje, ale ja tobie darmo z nich udzielę, byleście mnie i moje skrzynie zabrali.

— Mówisz, żeś sługa Boży, a tego nie wiesz, że poratunek nie dla ziemskich, jeno dla niebieskich trzeba dawać nagród. Ale jakżeś to skrzynie ocalił, skoro ci niosący je koń uciekł?

— Bo konia, nimem go odnalazł, wilcy w lesie na polance zarznęli, a zasię skrzynie ostały, które ja do drogi przywlokłem, aby czekać na zmiłowanie i pomoc dobrych ludzi.

To rzekłszy i chcąc zarazem dać dowód, że prawdę mówi, wskazał na dwie łubowe skrzynki, leżące pod sosną. Zbyszko patrzył na niego dość nieufnie, gdyż człowiek nie wydawał mu się zbyt zacnym, a przytem mowa jego, lubo czysta, zdradzała pochodzenie z dalekich stron. Nie chciał jednakże odmówić mu pomocy i pozwolił mu przysiąść się wraz ze skrzyniami, które okazały się dziwnie lekkie, na luźnego konia, którego powodował Czech.

— Niech Bóg pomnoży twoje zwycięstwa, mężny rycerzu! — rzekł nieznajomy.

Poczem, widząc młodocianą twarz Zbyszkową, dodał półgłosem:

— A również twoje włosy na brodzie.

I po chwili jechał obok Czecha. Przez czas jakiś nie mogli rozmawiać, albowiem dął silny

wiatr i w boru szum był okrutny, lecz gdy się nieco uspokoiło, Zbyszko usłyszał za sobą następującą rozmowę:

— Nie przeczę ci, że w Rzymie byłeś, ale wyglądasz na piwożłopa — mówił Czech.

— Strzeż się wiekuistego potępienia — odrzekł nieznajomy — albowiem mówisz do człowieka, który zeszłej Wielkanocy jadł jaja na twardo z Ojcem św. Nie mów mi na takie zimno o piwie, chyba o grzanem, ale jeśli masz gdzie przy sobie gąsiorek z winem, to daj mi dwa lub trzy łyki, a ja ci miesiąc czyśca odpuszczę.

— Nie masz święceń, bom słyszał, żeś sam o tem mówił, jakoże więc odpuścisz mi miesiąc czyśca?

— Święceń nie mam, ale głowę mam ogoloną, gdyż na to pozwoleństwo otrzymałem, prócz tego odpusty i relikwie wożę.

— W tych łubach? — zapytał Czech.

— W tych łubach. A gdybyście wszystko ujrzeli, co mam, padlibyście na twarz, nietylko wy, ale i wszystkie sosny w boru razem z dzikiemi zwierzęty.

Lecz Czech, który był pachołek roztropny i doświadczony, spojrzał podejrzliwie na przekupnia odpustów i rzekł:

— A wilcy konia zjedli?

— Zjedli, gdyż są dyabłom pokrewni, ale

popękali. Jednegom ci rozpukniętego na własne oczy widział. Jeśli masz wino, to daj, bo choć wiatr ustał, alem przemarzł, siedząc przy drodze.

Czech wina jednak nie dał i znów jechali w milczeniu, aż przekupień relikwii sam począł pytać:

— Dokąd jedziecie?

— Daleko. Ale tymczasem do Sieradza. Pojedziesz z nami?

— Bo muszę. Prześpię się w stajni, a jutro może mi ten pobożny rycerz konia podaruje i ruszę dalej.

— Skądże jesteś?

— Z pod pruskich panów, z pod Malborga.

Usłyszawszy to, Zbyszko zwrócił głowę i kiwnął na nieznajomego, aby się przybliżył.

— Z pod Malborga jesteś? — rzekł. — Stamtąd jedziesz?

— Z pod Malborga.

— Ale chyba nie Niemiec, ile że naszą mową dobrze mówisz? Jako cię wołają?

— Niemiec jestem, a wołają mnie Sanderus; waszą mową mówię, gdyż się w Toruniu urodziłem, gdzie wszystek naród tak mówi. Później mieszkałem w Malborgu, ale i tam to samo. Ba! nawet i bracia zakonni waszą mowę rozumieją.

— A dawnoś z Malborga?

— Byłem, panie, w Ziemi św., potem zaś w Konstantynopolu i w Rzymie, skąd przez Francyę wróciłem do Malborga, a z Malborga jechałem na Mazowsze, obwożąc relikwie święte, które pobożni chrześcijanie radzi dla zbawienia duszy kupują.

— Byłżeś w Płocku, czyli też w Warszawie?

— Byłem i tu, i tu. Niech Bóg da zdrowie obum księżnom! Niepróżno księżnę Aleksandrę nawet panowie pruscy miłują, bo to świątobliwa pani, chociaż i księżna Anna Januszowa nie gorsza.

— Widziałeś w Warszawie dwór?

— Nie napotkałem go w Warszawie, jeno w Ciechanowie, gdzie mnie oboje księstwo, jako sługę Bożego, gościnnie przyjęli i hojnie na drogę obdarowali. Ale i ja też zostawiłem im relikwie, które błogosławieństwo Boskie muszą na nich ściągnąć.

Zbyszko chciał zapytać o Danusię, ale naraz zdjęła go jakby pewna nieśmiałość i pewien wstyd, zrozumiał bowiem, że byłoby to samo, co zwierzyć się z miłości przed nieznajomym, gminnego pochodzenia człekiem, który przytem wyglądał podejrzanie i mógł być prostym oszustem. Więc po chwili milczenia spytał:

— Jakież to relikwie po świecie wozisz?

— Wożę i odpusty i relikwie, które to od-

pusty są różne: są całkowite i na pięćset lat, i na trzysta, i na dwieście, i na mniej, tańsze, aby i ubodzy ludzie mogli je nabywać i tym sposobem czyścowe męki sobie skracać. Mam odpusty na przeszłe grzechy i na przyszłe, ale nie myślcie, panie, abym pieniądze, za które je kupują, sobie chował... Kawałek czarnego chleba i łyk wody, ot co dla mnie, a resztę co zbieram, do Rzymu odwożę, aby się z czasem na nową wyprawę krzyżową zebrało. Jeździ ci wprawdzie po świecie wielu wydrwigroszów, którzy wszystko mają fałszywe: i odpusty, i relikwie, i pieczęcie, i świadectwa — i takich słusznie Ojciec św. listami ściga, ale mnie przeor sieradzki krzywdę i niesprawiedliwość wyrządził, gdyż moje pieczęcie są prawdziwe. Obejrzycie, panie, wosk i sami powiecie.

— A cóż przeor sieradzki?

— Ach, panie! Bogdajbym niesłusznie mniemał, że heretycką nauką Wiklefa zarażon. Ale jeśli, jako mi wasz giermek powiedział, jedziecie do Sieradza, tedy mu się wolę nie pokazować, aby go do grzechu i bluźnierstw przeciw świętościom nie przywodzić.

— To się znaczy, niewiele mówiąc, że cię wziął za oszusta i rzezimieszka?

— Żebyż to mnie panie! odpuściłbym mu dla miłości bliźniego, jak zresztą już uczyniłem,

ale on przeciw towarom moim świętym pobluźnił, za co, obawiam się wielce, że potępiony zostanie bez ratunku.

— Jakież to masz towary święte?

— Takie, że się i mówić o nich z nakrytą głową nie godzi, ale tym razem, mając gotowe odpusty, daję wam, panie, pozwolenie nie zrzucać kaptura, gdyż wiatr dmie znowu. Kupicie za to odpuścik na popasie i grzech nie będzie wam policzon. Czego ja nie mam! Mam kopyto osiołka, na którym odbyła się ucieczka do Egiptu, które znalezione było koło piramid. Król aragoński dawał mi za nie pięćdziesiąt dukatów dobrem złotem. Mam pióro ze skrzydeł archanioła Gabryela, które podczas Zwiastowania uronił; mam dwie głowy przepiórek, zesłanych Izraelitom na puszczy; mam olej, w którym poganie św. Jana chcieli usmażyć, i szczebel z drabiny, o której się śniło Jakóbowi, i łzy Maryi Egipcyanki, i nieco rdzy z kluczów św. Piotra... Ale wszystkiego wymienić nie zdołam dlatego, żem przemarzł, a twój giermek, panie, nie chciał mi dać wina, a powtóre dlatego, że do wieczora bym nie skończył.

— Wielkie są to relikwie, jeśli prawdziwe! — rzekł Zbyszko.

— Jeśli prawdziwe? Weź, panie, dzidę z rąk pacholka i nadstaw, bo dyabeł jest w pobliżu,

który ci takie myśli poddaje. Trzymaj go, panie, na długość kopii. A nie chceszli nieszczęścia na się sprowadzić, to kup u mnie odpust za ten grzech, inaczej w trzech niedzielach umrze ci ktoś, kogo najwięcej na świecie miłujesz.

Zbyszko przeląkł się groźby, gdyż przyszła mu na myśl Danusia, i odrzekł:

— Toć nie ja nie wierzę, jeno przeor Dominikanów w Sieradzu.

— Obejrzycie, panie, sami wosk na pieczęciach; a co do przeora, Bóg wie, zali on jeszcze żyw, albowiem prędka bywa sprawiedliwość Boska.

Lecz gdy przyjechali do Sieradza, pokazało się, że przeor był żyw. Zbyszko udał się nawet do niego, aby dać na dwie msze, z których jedna miała się odprawić na intencyę Maćka, druga na intencyę owych pawich pióropuszów, po które Zbyszko jechał. Przeor, jak wielu wówczas w Polsce, był cudzoziemcem, rodem z Cylii, ale przez czterdzieści lat życia w Sieradzu wyuczył się dobrze polskiej mowy i był wielkim nieprzyjacielem Krzyżaków. Zaczem dowiedziawszy się o Zbyszkowem przedsięwzięciu, rzekł:

— Większa ich jeszcze spotka kara Boska, ale i ciebie od tego, coś zamierzył, nie odwodzę, naprzód z tej przyczyny, iżeś zaprzysiągł, a po-

wtóre, że za to, co tu w Sieradzu uczynili, nigdy ich dosyć polska ręka nie przyciśnie.

— Cóże uczynili? — zapytał Zbyszko, który rad był wiedzieć o wszystkich nieprawościach krzyżackich.

Na to staruszek przeor rozłożył dłonie i naprzód począł odmawiać głośno: «Wieczny odpoczynek», potem zaś siadł na zydlu, przez chwilę oczy trzymał zamknięte, jakby chcąc zebrać dawne wspomnienia, i wreszcie tak mówić począł:

— Sprowadził ich tu Wincenty z Szamotuł. Było mi wtedy dwanaście roków i właśniem przybył tu z Cylii, skąd mnie wuj mój Petzoldt, kustosz, zabrał. Krzyżacy napadli w nocy na miasto i zaraz je podpalili. Widzieliśmy z murów, jako w rynku mężów, dzieci i niewiasty ścinali mieczami, albo jako niemowlęta rzucali w ogień... Widziałem zabijanych i księży, gdyż w złości swej nie przepuszczali nikomu. A zdarzyło się, iż przeor Mikołaj, z Elbląga rodem będąc, znał komtura Hermana, który wojskiem przewodził. Wyszedł on tedy ze starszymi braćmi do owego lutego rycerza i klęknąwszy przed nim, zaklinał go po niemiecku, aby się chrześcijańskiej krwi ulitował. Któren mu rzekł: «Nie rozumiem» — i dalej rzezać ludzi nakazał. Wtedy to wycięto i zakonników, a z nimi wuja

mego Petzoldta, a zasię Mikołaja koniowi do ogona przywiązali... A nad ranem nie było jednego żywego człowieka w mieście, prócz Krzyżaków i prócz mnie, który się na belce ode dzwonu zataiłem. Bóg ich już pokarał za to pod Płowcami, ale oni ciągle na zgubę tego chrześcijańskiego królestwa dybią i póty dybać będą, póki ich całkiem nie zetrze ramię Boskie.

— Pod Płowcami toż — odrzekł Zbyszko — wszyscy prawie mężowie z rodu mego wyginęli; ale ich nie żaluję, skoro Bóg króla Łokietka tak wielkiem zwycięstwem udarował i dwadzieścia tysięcy Niemców wygubił.

— Doczekasz ty się jeszcze większej wojny i większych zwycięstw — rzekł przeor.

— Amen! — odpowiedział Zbyszko.

I poczęli mówić o czem innem. Młody rycerz wypytywał trochę o przekupnia relikwii, którego zdybał w drodze, i dowiedział się, iż wielu podobnych oszustów włóczy się po drogach, durząc łatwowiernych ludzi. Mówił mu także przeor, iż są bulle papieskie, nakazujące biskupom ścigać podobnych przekupniów i którenby nie miał prawdziwych listów i pieczęci, zaraz go sądzić. Ponieważ świadectwa owego włóczęgi wydały się przeorowi podejrzane, więc chciał go zaraz do jurysdykcyi biskupiej odesłać. Jeśliby się okazało, że prawdziwym jest wysłan-

nikiem od odpustów, tedyby mu się krzywda nie stała. Ale on wolał uciec. Może jednak bał się mitręgi w podróży, ale przez tę ucieczkę w jeszcze większe podejrzenie się podał.

Pod koniec odwiedzin zaprosił też przeor Zbyszka na odpoczynek i nocleg do klasztoru, lecz ów nie mógł się na to zgodzić, chciał bowiem wywiesić kartę przed gospodą z wyzwaniem na «walkę pieszą alibo konną» wszystkich rycerzy, którzyby zaprzeczyli, że panna Danuta Jurandówna jest najurodziwszą i najcnotliwszą dziewką w królestwie, nie wypadało zaś żadną miarą wywieszać takowego wyzwania na furcie klasztornej. Ni przeor, ni inni księża nie chcieli mu nawet karty napisać, skutkiem czego młody rycerz wpadł w wielki kłopot i całkiem nie wiedział, jak sobie poradzić. Aż dopiero po powrocie do gospody przyszło mu na myśl udać się o pomoc do przekupnia odpustów.

— Przeor zgoła nie wie, czyliś nie hultaj— rzekł — bo powiada tak: czegoby się miał bać biskupiego sądu, gdyby prawe miał świadectwa?

— Nie boję się też biskupa — odrzekł Sanderus — jeno mnichów, którzy się na pieczęciach nie znają. Właśnie chciałem do Krakowa jechać, ale że konia nie mam, więc muszę czekać, póki mi go ktoś nie podaruje. Ale tymcza-

sem pismo poślę, do którego własną pieczęć przyłożę.

— Jam też sobie pomyślał, iż jeśli pokaże się, że znasz pismo, to będzie znak, żeś nie prostak. Ale jakże list poślesz?

— Przez jakiego pątnika, albo wędrownego mnicha. Małoż to ludzi do Krakowa do grobu królowej jeździ?

— A mnie potrafisz kartę napisać?

— Wypiszę, panie, wszystko, co każecie, gładko a do rzeczy, choćby na desce.

— Lepiej, że na desce — rzekł uradowany Zbyszko — bo to się nie zedrze i na później się przyda.

Jakoż, gdy po upływie pewnego czasu pacholikowie znaleźli i przynieśli świeżą deskę, zabrał się Sanderus do pisania. Co tam napisał, tego Zbyszko przeczytać nie umiał, ale kazał zaraz przybić wyzwanie na wrotach, pod niem zaś zawiesić tarczę, której Turczynkowie pilnowali naprzemian. Ktoby w nią kopią uderzył, tenby dał znak, że wyzwanie przyjmuje. W Sieradzu jednak brakło widocznie ochotników do takich spraw, tego bowiem dnia ani nazajutrz do południa nie zadźwięczała tarcza ani razu od uderzenia, o południu zaś wybrał się strapiony nieco młodzieńczyk w dalszą drogę.

Jednakże przedtem jeszcze przyszedł do Zbyszka Sanderus i rzekł mu:

— Gdybyście, panie, wywiesili tarczę w krajach panów pruskich, pewnieby już teraz giermek musiał na was rzemienie od zbroi dociągać.

— Jakto! przecie Krzyżak, jako zakonnik, nie może mieć damy, w której się kocha, bo mu nie wolno.

— Nie wiem, czy im wolno, jeno wiem, że je miewają. Prawda, że Krzyżak bez zgorszenia do pojedynczej walki stanąć nie może, gdyż przysięga, że tylko za wiarę będzie się wespół z drugimi potykał, ale tam prócz zakonników siła jest i świeckich rycerzy z dalekich stron, którzy panom pruskim w pomoc przychodzą. Ci patrzą jeno, z kimby się sczepić, a szczególniej rycerze francuscy.

— O wa! widziałem ja ich pod Wilnem, a da Bóg, zobaczę i w Malborgu. Potrzeba mi pawich piór z helmów, bom to ślubował, rozumiesz?

— Kupcie, panie, ode mnie dwie, albo trzy krople potu św. Jerzego, które wylał, ze smokiem walcząc. Żadna relikwia lepiej się rycerzowi nie przygodzi. Dacie mi za to konia, na którego kazaliście mi się przysiąść, to wam jeszcze i odpust dołożę za tę krew chrześcijańską, którą w walce przelejecie.

— Daj spokój, bo się zaś zgniewam. Nie

będę twego towaru brał, póki nie wiem, czy dobry.

— Jedziecie panie, jakoście rzekli, na dwór mazowiecki do księcia Janusza. Spytajcie się tam, ile relikwiów ode mnie nabrali — i sama księżna, i rycerze, i panny na weselach, na których byłem.

— Na jakich weselach? — zapytał Zbyszko.

— Jako zwyczajnie przed adwentem. Żenili się rycerze, jeden przez drugiego, bo ludzie prawią, że będzie wojna między królem polskim a pruskimi pany o ziemię Dobrzyńską... Mówi też sobie poniektóry: «Bogu wiadomo, czy żyw będę» — i chce przedtem szczęśliwości z niewiastą zażyć.

Zbyszka zajęła mocno wieść o wojnie, ale jeszcze mocniej to, co Sanderus mówił o zamęściach, więc zapytał:

— Jakież tam dziewki się wydały?

— A dwórki księżnej. Nie wiem, czy jedna ostała, bom słyszał, jako księżna mówiła, że przyjdzie jej nowych służebnych niewiast szukać.

Usłyszawszy to, Zbyszko umilkł na chwilę, poczem spytał nieco zmienionym głosem:

— A panna Danuta Jurandówna, której imię na desce stoi, też się wydała?

Sanderus zawahał się z odpowiedzią, naprzód dlatego, że sam nic dobrze nie wiedział, a po-

wtóre, że pomyślał, iż utrzymując rycerza w niepewności, nabierze nad nim pewnej przewagi i potrafi go lepiej wyzyskać. Już on poprzednio rozważył to w duszy, iż należy mu się trzymać tego rycerza, któren poczet miał zacny i opatrzon był dostatnio. Sanderus znał się na ludziach i na rzeczach. Wielka młodość Zbyszka pozwalała mu przypuszczać, że będzie to pan hojny, a nieopatrzny i łatwo groszem rzucający. Zobaczył już był także ową kosztowną zbroję medyolańską i ogromne ogiery bojowe, których byle kto posiadać nie mógł, więc powiedział sobie, że przy takiem paniątku będzie się miało i gościnność po dworach zapewnioną, i niejedną sposobność do zyskownej sprzedaży odpustów, i bezpieczeństwo w drodze, i wreszcie obfitość jadła i napoju, o którą mu przedewszystkiem chodziło.

Zatem usłyszawszy Zbyszkowe pytanie, namarszczył czoło, podniósł w górę oczy, jakby natężając pamięć, i odrzekł:

— Panna Danuta Jurandówna... A skąd ona jest?

— Jurandówna Danuta, ze Spychowa.

— Widziałem ci ja je wszystkie, ale jak tam na którą wołali, nie bardzo pomnę.

— Młódka to jeszcze jest, na luteńce grywająca, która śpiewaniem księżnę rozwesela.

— Aha... młódka... na luteńce grywająca... wychodziły i młódki... Nie czarnać ona jest, jako agat?

Zbyszko odetchnął.

— To nie ta! Tamta biała, jako śnieg, jeno na jagodach rumiana i płowa.

A na to Sanderus:

— Bo jedna, czarna jako agat, przy księżnie ostała, a inne prawie wszystkie się wydały.

— Przecie mówisz, że «prawie wszystkie», to się znaczy, że nie co do jednej. Na miły Bóg, chcesz-li ode mnie co mieć, to sobie przypomnij.

— Tak we trzy, albo cztery dni, tobym sobie przypomniał, a najmilszy byłby mi koń, któryby moje święte towary nosił.

— To go dostaniesz, byleś prawdę rzekł.

Wtem Czech, który słuchał tej rozmowy od początku i uśmiechał się w garść, ozwał się:

— Prawda będzie wiadoma na mazowieckim dworze.

Sanderus popatrzył na niego przez chwilę, poczem rzekł:

— A to myślisz, że się dworu mazowieckiego boję?

— Ja nie mówię, że się dworu mazowieckiego boisz, jeno, że zaraz, ni też po trzech dniach z koniem nie odjedziesz, a pokaże się li,

żeś zelgał, to i na własnych nogach nie odejdziesz, bo ci je Jego Miłość każe połamać.

— Jako żywo! — rzekł Zbyszko.

Sanderus pomyślał, że wobec takiej zapowiedzi lepiej być ostrożnym, i odrzekł:

— Gdybym chciał zelgać, byłbym odrazu powiedział, że się wydała, albo że się nie wydała, a ja rzekłem: nie pomnę. Żebyś miał rozum, tobyś zaraz cnotę moją z tej odpowiedzi wymiarkował.

— Nie brat mój rozum twojej cnocie, bo ona może być psu siostra.

— Nie szczeka moja cnota, jako twój rozum; a kto za życia szczeka, ten snadnie może wyć po śmierci.

— I pewnie! Twoja cnota nie będzie po śmierci wyła, jeno zgrzytała, chyba że za życia na usługach dyablu zęby straci.

I poczęli się kłócić, gdyż Czech wartki miał język i na każde słowo Niemca dwa znajdował. Lecz tymczasem Zbyszko dał rozkaz odjazdu i niebawem ruszyli, wypytawszy wprzód dobrze ludzi bywałych o drogę do Łęczycy. Wkrótce za Sieradzem wjechali w głuche bory, którymi większa część kraju była porośnięta. Lecz środkiem ich szedł gościniec, miejscami nawet okopany, miejscami na nizinach wymoszczony okrąglakami, zabytek króla Kazimierzowej gospo-

darki. Wprawdzie po jego śmierci, wśród zawieruchy wojennej, jaką wzniecili Nałęcze i Grzymalici, podupadły nieco drogi, lecz za Jadwigi, po uspokojeniu królestwa, zawrzały znów w rękach zabiegłego ludu łopaty po bagnach, siekiery po lasach, i pod koniec jej życia wszędzie już kupiec mógł między znaczniejszymi grodami prowadzić swoje ładowne wozy bez obawy, iż mu się połamią wśród wybojów, lub pogrzęzną w młakach. Zwierz chyba dziki lub zbóje mogli wstręt czynić po drogach, lecz od zwierza były kaganki na noc, zaś kusze do obrony w dzień, a zbójów, zawalidrogów mniej było, niż w krajach ościennych. Zresztą, kto jechał z pocztem i zbrojny, ten mógł się niczego nie obawiać.

Zbyszko też nie obawiał się zbójów, ni zbrojnych rycerzy, a nawet i nie myślał o nich, gdyż opadł go srogi niepokój i duszą całą był na mazowieckim dworze. Zastanie-li jeszcze swoją Danuśkę dwórką księżnej, czyli też żoną jakiego mazowieckiego rycerza, sam nie wiedział i od rana do nocy bił się z myślami nad tem pytaniem. Czasem wydawało mu się to niepodobieństwem, by ona miała o nim zapomnieć, lecz chwilami przychodziło mu do głowy, że może Jurand przybył na dwór ze Spychowa i wydał dziewkę za mąż za jakiego sąsiada

lub przyjaciela. Mówił on przecie jeszcze w Krakowie, że nie Zbyszkowi Danusia pisana i że mu jej oddać nie może, więc widocznie przyrzekł ją komuś innemu, widocznie był związan przysięgą, a teraz przysięgi dotrzymał. Zbyszkowi, gdy o tem myślał, zdało się rzeczą pewną, że już nie ujrzy Danuśki dziewczyną. Wołał wówczas Sanderusa i znów go badał, znów wypytywał, ale ów mącił coraz bardziej. Nieraz, już, już przypominał sobie dwórkę Jurandównę i jej wesele, a potem nagle wsadzał palec w usta, zamyślał się i odpowiadał: «Chyba nie ta!» W winie, które mu miało jasność w głowie czynić, nie odnajdował też Niemiec pamięci, i trzymał ciągle młodego rycerza między śmiertelną obawą a nadzieją.

Jechał więc Zbyszko w trosce, zmartwieniu i niepewności. Po drodze nie myślał już wcale ni o Bogdańcu, ni o Zgorzelicach, tylko o tem, co mu należy czynić. Przedewszystkiem należało jechać dowiedzieć się prawdy na mazowieckim dworze, jechał więc spiesznie, zatrzymując się tylko na krótkie noclegi po dworach, gospodach i miastach, aby koni nie zniszczyć. W Łęczycy kazał wywiesić znów deskę z wyzwaniem przed bramą, rozumując w sobie w duszy, że, czy Danuśka jeszcze trwa w panieńskim stanie, czy za mąż wyszła, zawsze jest

panią jego serca i potykać się o nią powinien. Ale w Łęczycy nie bardzo kto umiał wezwanie przeczytać, ci zaś z rycerzy, którym odczytali je biegli w piśmie klerycy, wzruszali ramionami, nie znając obcego obyczaju i mówiąc: «Głupi to jakiś jedzie, bo jakże mu kto ma przyświadczyć, albo się sprzeciwić, skoro onej dziewki na oczy nie widział!» A Zbyszko jechał dalej w coraz większem strapieniu i z coraz większym pośpiechem. Nigdy on nie ustawał kochać swojej Danuśki, ale w Bogdańcu i w Zgorzelicach, «uradzając» prawie codzień z Jagienką i patrząc na jej urodę, nie tak często o tamtej myślał, a teraz dniem i nocą nie schodziła mu ni z oczu, ni z pamięci, ni z myśli. We śnie nawet widywał ją przed sobą, przetowlosą, z lutnią w ręku, w czerwonych trzewikach i z wianeczkiem na głowie. Wyciągała do niego ręce, a Jurand ją od niego odciągał. Rankiem, gdy sny pierzchały, przychodziła zaraz na ich miejsce tęsknota większa, niż była przedtem, i nigdy tak Zbyszko tej dziewczyny nie kochał w Bogdańcu, jak zaczął ją kochać właśnie teraz, gdy nie był pewien, czy mu jej nie zabrali.

Przychodziło mu też do głowy, że pewnie ją po niewoli wydali, więc jej w duszy nie oskarżał, zwłaszcza, że dzieckiem będąc, woli swej jeszcze mieć nie mogła. Burzył się natomiast

w duszy przeciw Jurandowi i przeciw księżnej Januszowej, a gdy pomyślał o Danusinym mężu, zaraz serce podnosiło mu się aż po szyję w piersiach i groźnie się na pacholków, wiozących pod oponami zbroje, oglądał. Układał też sobie, że służyć jej nie przestanie i że choćby ją cudzą żoną zastał, to pawie grzebienie złożyć jej u nóg musi. Ale było w tej myśli więcej żalu, niż pociechy, bo całkiem nie wiedział, co pocznie potem.

Pocieszała go tylko myśl o wielkiej wojnie. Chociaż nie chciało mu się bez Danuśki żyć, nie obiecywał sobie, że koniecznie zginie, natomiast czuł, że tak mu się jakoś zapodzieje w czasie wojny dusza i pamięć, iż zbędzie wszelkich innych trosk i frasunków. A wielka wojna wisiała jakby w powietrzu. Niewiadomo było, skąd się brały o niej wieści, gdyż między królem a Zakonem panował spokój, a jednakże wszędy, gdzie Zbyszko zajechał, nie mówiono o niczem innem. Ludzie mieli jakby przeczucie, że to nastąpić musi, a niektórzy mówili otwarcie: «Pocóż nam się było z Litwą łączyć, jeśli nie przeciw onym wilkom krzyżackim? Raz więc trzeba z nimi skończyć, aby zaś dłużej nie szarpali nam wnętrzności». Inni wszelako powiadali: «Szaleni mnichowie! mało im było Płowców! śmierć jest nad nimi, a oni jeszcze ziemię Dobrzyńską

porwali, którą wraz z krwią wyrzygać muszą...»
I gotowano się po wszystkich ziemiach Królestwa, poważnie, bez chełpliwości, jako zwyczajnie do boju na śmierć i życie, ale z głuchą zawziętością potężnego ludu, który zbyt długo krzywdy znosił i wreszcie do wymierzenia straszliwej kary się gotował. Po wszystkich dworach Zbyszko spotykał ludzi przekonanych, że lada dzień trzeba będzie na koń siadać, i aż dziwił się temu, albowiem mniemając również, jak i inni, że do wojny przyjść musi, nie słyszał jednak o tem, by miała nastąpić tak prędko. Nie przyszło mu wszelako do głowy, że ludzka chęć wyprzedza w tym razie wypadki. Wierzył innym, nie sobie i radował się w sercu na widok owej przedwojennej krzątaniny, którą na każdym spotykał kroku. Wszędzie wszystkie inne troski ustępowały trosce o konie i zbroje, wszędzie oglądano w wielkiem skupieniu kopie, miecze, topory, rohatyny, hełmy, pancerze, rzemienie przy napierstnikach i kropierzach. Kowale dzień i noc bili młotami w żelazne blachy, kowając zbroje grube, ciężkie, któreby ledwie dźwignąć mogli wytworni rycerze z Zachodu, ale które z łatwością nosili krzepcy «dziedzice» z Wielko- i Małopolski. Starcy wydobywali ze skrzyń w alkierzach spleśniałe worki z grzywnami na wojenną wyprawę dla dzieci. Raz no-

cował Zbyszko u możnego szlachcica Bartosza z Bielaw, który mając dwudziestu dwóch tęgich synów, zastawił liczne ziemie klasztorowi w Łowiczu, aby zakupić dwadzieścia dwa pancerze, tyleż helmów i innych przyborów na wojnę. Więc Zbyszko, choć o tem w Bogdańcu nie słyszał, myślał także, że zaraz przyjdzie do Prus pociągnąć, i dziękował Bogu, że tak przednio jest na wyprawę opatrzon. Jakoż zbroja jego budziła powszechny podziw. Brano go za wojewodzińskie dziecko, a gdy powiadał ludziom, że prostym jest tylko szlachcicem i że taką zbroję można u Niemców kupić, byle godnie toporem zapłacić, wzbierały serca ochotą wojenną. Lecz niejeden na widok tej zbroi, nie mogąc pożądliwości potłumić, doganiał Zbyszka na gościńcu i mówił: «Nużbyś się o nią spotkał?» Ale on, mając drogę pilną, nie chciał się potykać, a Czech kuszę naciągał. Przestał nawet Zbyszko wywieszać po gospodach deskę z wyzwaniem, albowiem pomiarkował, iż im głębiej od granic w kraj wjeżdżał, tem mniej się ludzie na tem rozumieli i tem bardziej poczytywali go za głupiego.

Na Mazowszu mniej ludzie mówili o wojnie. Wierzyli i tu, że będzie, ale nie wiedzieli kiedy. W Warszawie spokój był, tembardziej, że dwór bawił w Ciechanowie, który książę Janusz po dawnym napadzie litewskim przebudowywał,

a raczej całkiem na nowo wznosił, gdyż z dawnego został tylko zamek. W grodzie warszawskim przyjął Zbyszka Jaśko Socha, starosta zamkowy, syn wojewody Abrahama, który pod Worsklą poległ. Jaśko znał Zbyszka, gdyż był z księżną w Krakowie, więc też i ugościł go z radością, on zaś, nim do jadła i napoju zasiadł, zaraz począł go wypytywać o Danusię i o to, czy się wraz z innemi dwórkami księżnej nie wydała.

Lecz Socha nie umiał mu na to odpowiedzieć. Księstwo bawili na zamku ciechanowskim od wczesnej jesieni. W Warszawie tylko została garść łuczników i on, dla straży. Słyszał, że były w Ciechanowie różne uciechy i wesela, jak bywa zwyczajnie przed adwentem, ale któraby z dworek za mąż poszła, a która się ostała, o to, jako człek żonaty, nie wypytywał.

— Myślę wszelako — mówił — że Jurandówna się nie wydała, gdyżby się to bez Juranda obyć nie mogło, a nie słyszałem, aby przyjeżdżał. Bawią też u księstwa w gościnie dwaj bracia zakonni, komturowie, jeden z Jansborku, a drugi ze Szczytna, a z nimi podobno i jacyś goście zagraniczni, a wtedy Jurand nigdy nie przyjeżdża, gdyż jego widok białego płaszcza do szaleństwa zaraz przywodzi. Nie było zasię Juranda, nie było i wesela! A chcesz, to poślę

ci gończego zapytać, któremu pilno wracać każę, choć jako żywo, tak myślę, że Jurandównę w panieńskim jeszcze stanie napotkasz.

— Sam zaraz jutro pojadę, ale za pociechę Bóg ci zapłać. Niech jeno konie odpoczną, to pojadę, gdyż nie będę miał spokoju, póki się prawdy nie dowiem. Bóg ci wszelako zapłać, bo zaraz mi ulżyło.

Socha nie poprzestał jednak na tem i począł się przepytywać między szlachtą, bawiącą przygodnie w zamku i między żołnierzami, czy kto czego o weselu Jurandówny nie słyszał. Nie słyszał jednak nikt, choć znaleźli się tacy, którzy byli w Ciechanowie, a nawet i na niektórych weselach: «Chybaby kto ją wziął w ostatnich tygodniach, albo w ostatnich dniach». Jakoż mogło się i tak zdarzyć, gdyż w owych czasach nie tracili ludzie czasu na namysł. Ale tymczasem Zbyszko poszedł spać wielce pokrzepiony. Już w łożu będąc, namyślał się, czy nie odpędzić nazajutrz Sanderusa, pomyślał jednak, że hultaj może mu się dla swej znajomości niemieckiej mowy przydać wówczas, gdy się przeciw Lichtensteinowi wybierze. Pomyślał także, że Sanderus nie okłamał go, a chociaż był nabytkiem kosztownym, gdyż jadł i pił po gospodach za czterech, był jednak usłużny i okazywał nowemu panu pewne przywiązanie. Nadto

posiadał także sztukę pisania, czem górował nad giermkiem Czechem i nad samym Zbyszkiem.

To wszystko sprawiło, iż młody rycerz pozwolił mu jechać ze sobą do Ciechanowa, z czego Sanderus był rad, nietylko dla «wiktu», ale i dlatego, iż zauważył, że w zacnem towarzystwie więcej wzbudza ufności i łacniej znajduje kupców na swój towar. Po jeszcze jednym noclegu w Nasielsku, jadąc ni zbyt wartko, ni zbyt wolno, ujrzeli następnego dnia pod wieczór mury ciechanowskiego zamku. Zbyszko zatrzymał się w gospodzie, aby wdziać na się zbroję i wjechać obyczajem rycerskim do zamku w hełmie i z kopią w ręku, zaczem siadł na olbrzymiego zdobycznego ogiera i uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, ruszył przed siebie.

Lecz nie ujechał i dziesięciu kroków, gdy jadący z tyłu Czech porównał się z nim i rzekł:

— Wasza miłość, rycerze jacyś za nami walą, Krzyżaki chyba, czy co?

Zbyszko zawrócił konia i nie dalej, jak na pół stajania za sobą, ujrzał okazały poczet, na którego czele jechało dwóch rycerzy na tęgich pomorskich koniach, obaj w pełnych zbrojach, każdy w białym płaszczu z czarnym krzyżem i w hełmie z wysokim pawim pióropuszem.

— Krzyżacy, na miły Bóg!—rzekł Zbyszko.

I mimowoli pochylił się w siodle i złożył ko-

pię w pół ucha końskiego, co widząc, Czech splunął w garście, aby mu się nie ślizgało w nich toporzysko.

Czeladnicy Zbyszkowi, ludzie bywali i mający obyczaj wojenny, stanęli także w gotowości, nie do walki wprawdzie, albowiem w spotkaniach rycerskich służba nie brała udziału, ale do odmierzenia miejsca pod bitwę konną, lub do udeptania zaśnieżonej ziemi pod pieszą. Jeden Czech tylko, szlachcicem będąc, miał się ku robocie, lecz i on spodziewał się, że Zbyszko przemówi, zanim uderzy, i w duszy mocno się nawet dziwił, iż młody pan pochylił kopię przed wyzwaniem.

Lecz i Zbyszko opamiętał się w porę. Przypomniał sobie swój szalony uczynek pod Krakowem, gdy nieopatrznie chciał bić w Lichtensteina — i wszystkie nieszczęścia, jakie z tego wynikły, więc podniósł kopię, oddał ją Czechowi i nie dobywając miecza, ruszył koniem ku rycerzom zakonnym. Zbliżywszy się, zauważył, że prócz nich był jeszcze trzeci rycerz, również z piórami na głowie i czwarty niezbrojny, długowłosy, który wydawał mu się Mazurem.

Widząc zaś ich, rzekł sobie w duszy:

— Slubowałem mojej panience w więzieniu nie trzy czuby, jeno tyle, ile paliców u rąk, ale

trzy, byle to nie byli posłowie, mogłoby być zaraz.

Jednakże pomyślał, że to właśnie muszą być jacyś posłowie do księcia mazowieckiego, więc westchnąwszy, ozwał się głośno:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedział długowłosy niezbrojny jeździec.

— Szczęść wam Boże.

— I wam, panie.

— Chwała św. Jerzemu!

— Nasz ci to patron. Witajcie, panie, w podróży.

Tu poczęli się sobie kłaniać, a następnie Zbyszko wymienił, kto jest, jakiego herbu, zawołania i skąd na dwór mazowiecki podąża, długowłosy zaś rycerz oznajmił, iż zowie się Jędrek z Kropiwnicy i gości księciu wiedzie: brata Godfryda, brata Rotgiera, oraz pana Fulka de Lorche z Lotaryngii, który u Krzyżaków bawiąc, chce księcia mazowieckiego, a zwłaszcza księżnę, córkę sławnego «Kynstuta», na własne oczy obaczyć.

Przez ten czas, gdy wymieniano ich nazwiska, rycerze zagraniczni, siedząc prosto na koniach, pochylali raz po raz przybrane w żelazne hełmy głowy, sądząc bowiem ze świetnej zbroi Zbyszkowej, mniemali, że książę kogoś

znacznego, może krewnego lub syna na spotkanie ich wysłał.

Jędrek zaś z Kropiwnicy mówił dalej:

— Komtur, jakobyście po naszemu rzekli: starosta z Jansborku, bawi w gościnie u księcia, któremu rozpowiadał o tych trzech rycerzach, jako mają żywną ochotę przybyć, ale nie śmieją, a zwłaszcza ów rycerz z Lotaryngii, on bowiem zdaleka będąc, mniemał, że za krzyżacką granicą zaraz mieszkają Saraceny, z którymi wojna nie ustaje. Książę, jako ludzki pan, wnet mnie na granicę posłał, abym ich bezpiecznie wśród zamków przeprowadził.

— To bez waszej pomocy nie mogliby przejechać?

— Jest nasz naród okrutnie na Krzyżaków zawzięty, a to z przyczyny nie tyle ich napaści, bo i my do nich zaglądamy, ile z przyczyny wielkiej ich zdradliwości, że to, jeśli cię Krzyżak obłapi, a z przodu w gębę cię całuje, to z tyłu gotów cię w tym samym czasie nożem zgnąć, któren obyczaj zgoła jest świński i nam Mazurom przeciwny... Ba! jużci!... Pod dach i Niemca każdy przyjmie i gościowi krzywdy nie uczyni, ale na drodze rad mu zastąpi. A są i tacy, którzy nic innego nie czynią, przez pomstę, albo dla chwały, którą daj Bóg każdemu.

— Którenże jest między wami najsławniejszy?

— Jest jeden taki, że lepiejby Niemcu śmierć obaczyć, niż jego: zowie się Jurand ze Spychowa.

Zadrgało w młodym rycerzu serce, gdy usłyszał to nazwisko—i wraz postanowił pociągnąć Jędrka z Kropiwnicy za język.

— Wiem! — rzekł — słyszałem: to ów, którego córka Danuta dwórką księżnej była, póki się nie wydała.

I to rzekłszy, począł pilnie patrzyć w oczy mazowieckiego rycerza, tamując prawie dech w piersiach, ów zaś odrzekł z wielkiem zdziwieniem:

— A wam to kto powiadał? Dyć to młódka. Bywa poprawdzie, że i takie wychodzą za mąż, ale Jurandówna nie wyszła. Sześć dni temu, jak wyjechałem z Ciechanowa i widziałem ją przy księżnej. Jakoże jej w adwencie wychodzić?

Zbyszko, słysząc to, wytężył całą siłę woli, by nie pochwycić Mazura za szyję i nie zakrzyknąć mu: «Bóg ci zapłać za nowinę!» — pohamował się jednak i rzekł:

— Bo słyszałem, że ją Jurand komuś oddał.

— Księżna chciała ją oddać, nie Jurand, jeno przeciw woli Jurandowej nie mogła. Chciała

ją oddać jednemu rycerzowi w Krakowie, który dziewce ślubował i którego ona miłuje.

— Miłuje ci go? — zakrzyknął Zbyszko.

Na to Jędrek spojrzał na niego bystro, uśmiechnął się i rzekł:

— Wiecie! jakoś strasznie się o tę dziewuchę przepytujecie.

— Przepytuję o znajomych, ku którym jadę.

Mało Zbyszkowi widać było twarzy z pod hełmu, ledwie oczy, nos i trochę policzków, ale za to nos i policzki tak były czerwone, że skory do drwin, a przechera Mazur rzekł:

— Pewnikiem od mrozu tak wam gęba pokraśniała, jako wielkanocne jaje!

A młodzian zmieszał się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Pewnikiem...

Ruszyli i jechali czas jakiś w milczeniu, tylko konie parskały, wyrzucając z nozdrzy słupy pary — i obcy rycerze poczęli między sobą szwargotać. Lecz po chwili Jędrek z Kropiwnicy zapytał:

— Jakoże was to zowią, bom niedobrze dosłyszał?

— Zbyszko z Bogdańca.

— Moiście wy! A toć tamtemu, co to Jurandównie ślubował, podobnie było.

— Zali myślicie, że się zaprę? — odpowiedział prędko i z dumą Zbyszko.

— Bo i niema czego. Miły Boże, to wyście ów Zbyszko, któremu dziewucha nałęczką głowę nakryła! Po powrocie z Krakowa wszystkie dwórki o niczem innem nie gadały, jeno o was, a niejednemu to aż śluzy, słuchającemu, po jagodach ciekły. Toście wy! Hej! radość też będzie na dworze... że to i księżna was nawidzi.

— Bóg jej błogosław i wam także za dobrą nowinę... Bo jak mi powiedzieli, że się wydała, to ażem ścierpł.

— Co się miała wydać!.. Łakoma to jest rzecz, taka dziewka, bo za nią cały Spychów stoi, ale choć siła jest gładkich chłopów na dworze, żaden jej w ślepia nie zaglądał, bo każden i jej uczynek i wasze ślubowanie szanował. Nie byłaby też dopuściła do tego i księżna. Hej! będzie radość. Po prawdzie, przekomarzali się czasem dziewusze! Powie jej kto: «Nie wróci twój rycerz» — to ona jeno piętami przytupuje: «Wróci! wróci!» — chociaż nieraz, gdy kto jej rzekł, żeście inną wzięli, to i do płakania przychodziło.

Rozczuliły te słowa Zbyszka, ale zarazem chwycił go gniew na ludzkie gadanie, więc rzekł:

— Kto o mnie takie rzeczy szczekał, to go pozwę!

A Jędrek z Kropiwnicy począł się śmiać:

— Baby naprzekór gadały! Będziecie pozywać baby? Mieczem przeciw kądzieli nie poradzisz!

Zbyszko rad, że mu Bóg zesłał tak wesołego i życzliwego towarzysza, począł go wypytywać o Danusię, potem o obyczaje mazowieckiego dworu i znów o Danusię, potem o księcia Janusza, o księżnę i znów o Danusię, nakoniec jednak wspomniawszy o swych ślubach, rozpowiedział Jędrkowi, co słyszał po drodze o wojnie — jako się ludzie do niej gotują, jako jej z dnia na dzień czekają — a wreszcie zapytał, czyli i w księstwach mazowieckich tak samo myślą.

Lecz dziedzic Kropiwnicy nie myślał, aby wojna była tak blizka. Gadają ludzie, że nie może inaczej być, ale on słyszał, oto jak raz sam książę mówił do Mikołaja z Długolasu, że pochowali rogi Krzyżacy i że byle król nastawał, to i z ziemi Dobrzyńskiej, którą porwali, odstąpią, bo się potęgi jego boją, albo przynajmniej będą sprawę przewlóczyć, póki się dobrze nie przygotują.

— Zresztą — rzekł — książę niedawno do Malborku jeździł, gdzie pod niebytność mistrza wielki marszałek go podejmował i gonitwy dla

niego wyprawił, a teraz u księcia komtury bawią i ot nowi goście jeszcze jadą...

Tu jednak zastanowił się przez chwilę i dodał:

— Powiadają ludzie, że te Krzyżaki nie bez przyczyny u nas i u księcia Ziemowita w Płocku siedzą. Chcieliby oni pono, żeby w razie wojny nasi książęta nie wspomagali króla polskiego, jeno ich, a jeśli się nie dadzą do tego pociągnąć, to żeby choć na boku spokojnie ostali, ale tego nie będzie...

— Bóg da, że nie będzie. Jakżebyście to w domu usiedzieli? Wasi książęta przecie Królestwu Polskiemu powinni. Nie usiedzicie, myślę.

— Nie usiedzimy — odrzekł Jędrek z Kropiwnicy.

Zbyszko spojrzał znów na obcych rycerzy i na ich pawie pióra:

— To i ci po to jadą?

— Bracia zakonni, może i po to. Kto ich wie?

— A ów trzeci?

— Trzeci jedzie, bo ciekawy.

— Znaczny jakiś musi być.

— Ba! wozów idzie za nim okutych trzy, z godnym sprzętem, a ludzi pocztowych jest dziewięciu. Bogdajby się z takim zewrzeć! Aże ślina do gęby idzie.

— Ale nie możecie?

— Jakże! Toć mi książę kazał ich strzedz. Włos im z głowy nie spadnie do Ciechanowa.

— A nużbym ich pozwał? nużby się chcieli ze mną potykać?

— Tedy musielibyście się wpierw ze mną potykać, bo pókim żyw, nie będzie z tego nic.

Zbyszko, usłyszawszy to, spojrzał przyjaźnie na młodego szlachcica i rzekł:

— Rozumiecie, co rycerska cześć. Z wami nie będę się potykał, bom wam przyjacielem, ale w Ciechanowie, da Bóg, przyczynę przeciw Niemcom znajdę.

— W Ciechanowie róbcie sobie, co wam się spodoba. Nie obejdzie się też tam bez jakowychś gonitw, to może pójść i na ostre, byle książę i komturowie dali pozwoleństwo.

— Mam ci ja taką deskę, na której stoi pozwanie dla każdego, ktoby nie przyznał, że panna Danuta Jurandówna najcnotliwsza i najgładsza dziewka na świecie. Ale wiecie... wszędy ludzie jeno ramionami ruszali i śmiali się.

— Bo też to jest obcy obyczaj, a prawdę rzekłszy, głupi, którego u nas ludzie nie znają, chyba gdzieś na pograniczach. To i ten tu Lotaryńczyk zaczepiał po drodze szlachtę, każąc jakąś swoją panią nad inne wysławiać. Ale go nikt nie rozumiał, a jam do bitki nie dopuszczał.

— Jakto? kazał swoją panią wysławiać? Bójcie się Boga! Chyba, że wstydu w oczach nie ma!

Tu spojrzał na zagranicznego rycerza, jakby się chcąc przekonać, jak też wygląda człowiek, który wstydu w oczach nie ma, ale w duszy musiał jednak przyznać, iż Fulko de Lorche nie wyglądał wcale na zwykłego zawalidrogę. Owszem, z pod uchylonej przyłbicy patrzyły oczy łagodne i wychylała się twarz młoda, a pełna jakiegoś smutku.

— Sanderus! — zawołał nagle Zbyszko.

— Do usług — odpowiedział, zbliżając się, Niemiec.

— Zapytaj się tego rycerza, jaka jest najcnotliwsza i najcudniejsza dziewka na świecie.

— Jaka jest najcudniejsza i najcnotliwsza dziewka na świecie? — zapytał Sanderus.

— Ulryka de Elner! — odpowiedział Fulko de Lorche.

I podniósłszy oczy w górę, począł raz po razu wzdychać, Zbyszkowi zaś, gdy usłyszał takie bluźnierstwo, oburzenie zaparło dech w piersi, a gniew chwycił go tak wielki, że zdarł na miejscu ogiera; zanim jednak zdołał przemówić, Jędrek z Kropiwnicy przedzielił go koniem od cudzoziemca i rzekł:

— Nie będziecie się tu wadzić.

Lecz Zbyszko zwrócił się znów do przekupnia relikwii.

— Powiedz mu ode mnie, że sowę miłuje.

— Pan mój mówi, szlachetny rycerzu, że milujecie sowę – powtórzył, jak echo Sanderus.

Na to pan de Lorche puścił cugle i prawą ręką począł odpinać, a następnie ściągać żelazną rękawicę, poczem rzucił ją w śnieg przed Zbyszkiem, ów zaś skinął na swego Czecha, aby ją podjął ostrzem kopii.

Wtem Jędrek z Kropiwnicy zwrócił się do Zbyszka z twarzą już groźną i rzekł:

— Nie spotkacie się, powiadam, póki się moje stróżowanie nie skończy. Nie pozwolę ni jemu, ni wam.

— Przecie nie ja go pozwałem, jeno on mnie.

— Ale za sowę. Dość mi tego, a któryby się przeciwił... Ejże!... wiem i ja, jako pas okręcić.

— Nie chcę się z wami bić.

— A musielibyście ze mną, bo ja tamtego poprzysiągł bronić.

— To jakże będzie? – spytał uparty Zbyszko.

— Ciechanów niedaleko.

— Ale co Niemiec pomyśli?

— Niech mu wasz człowiek powie, że tu spotkania być nie może i że pierwej musi być książęce pozwoleństwo dla was, a komturowe dla niego.

— Ba! a jeżeli pozwoleństwa nie dadzą?

— To się przecie znajdziecie. Dość gadania.

Zbyszko, widząc, że niema rady, i rozumiejąc, że Jędrek z Kropiwnicy nie może istotnie na bitkę pozwolić, zawołał znów Sanderusa, aby wytłómaczył lotaryńskiemu rycerzowi, że bić się będą dopiero, jak staną na miejscu. De Lorche, wysłuchawszy słów Niemca, skinął głową na znak, że rozumie, a następnie wyciągnąwszy ku Zbyszkowi rękę, potrzymał przez chwilę jego dłoń i ścisnął ją mocno po trzykroć, co wedle zwyczajów rycerskich oznaczało, że bić się z sobą gdziekolwiek i kiedykolwiek muszą. Poczem w pozornej zgodzie ruszyli ku ciechanowskiemu zamkowi, którego tępe wieże widać już było na tle zarumienionego nieba.

Wjechali jeszcze za widna, lecz nim opowiedzieli się przy bramach zamkowych i nim spuszczono most, nastała głęboka noc. Przyjął ich i ugościł znajomy Zbyszkowy, Mikołaj z Długolasu, któren przywodził załodze, złożonej z garści rycerstwa i trzystu niechybnych łuczników puszczańskich. Zaraz na wstępie dowiedział się ku wielkiemu swemu strapieniu Zbyszko, że dworu nie było. Książę, chcąc uczcić komturów ze Szczytna i z Jansborka, wyprawił wielkie łowy w puszczy, na które udała się dla przydania okazałości widowisku i księżna, wraz

z dworskiemi pannami. Ze znajomych niewiast znalazł Zbyszko tylko Ofkę, wdowę po Krzychu z Jarząbkowa, która była klucznicą w zamku. Ta rada mu była bardzo, albowiem od czasu powrotu z Krakowa opowiadała każdemu, kto chciał i nie chciał, o jego miłości do Danusi i przygodzie z Lichtensteinem. Jednały jej te opowiadania wielki mir wśród młodszych dworzan i panien, była więc wdzięczna Zbyszkowi i teraz starała się pocieszyć młodzianka w smutku, jakim przejęła go nieobecność Danuśki.

— Nie poznasz jej — mówiła. — Dziewczynie roki idą i w szatkach już jej szwy poczynają pod szyją trzaskać, bo wszystko w niej pęcznieje. Nie skrzat to już taki, jaki był i inaczej cię miłuje, niż dawniej. Teraz, niech jej kto jeno krzyknie do ucha: «Zbyszko!» — to jakby ją kto szydłem żgnął. Taka już nas wszystkich niewiast dola, przeciw czemu niema rady, gdyż to z rozkazania Boskiego... A stryjko twój, powiadasz, zdrowi? Czemu zaś nie przyjechali?... Jużci że taka dola... Cni się, cni samej niewieście na świecie... Łaska Boska, że dziewczyna nóg nie połamała, bo codzień na wieżę wyłazi, a na drogę spogląda... Każda z nas potrzebuje przyjacielstwa...

— Popasę jeno konie i pojadę ku niej, choćby i nocą pojadę — odpowiedział Zbyszko.

— Uczyń to, jeno przewodnika z zamku weź, bo w puszczy zabłądzisz.

Jakoż na wieczerzy, którą Mikołaj z Długolasu dla gości wyprawił, oświadczył Zbyszko, że zaraz za księciem pojedzie i o przewodnika prosi. Zdrożeni bracia zakonni poprzysuwali się po uczcie do olbrzymich kominów, na których płonęły całe pnie sosnowe, i postanowili jechać dopiero nazajutrz, po wypoczynku. Lecz de Lorche, wypytawszy się, o co chodzi, oznajmił chęć jechania razem ze Zbyszkiem, mówiąc, że inaczej mogliby się spóźnić na łowy, które chciał widzieć koniecznie.

Poczem zbliżył się do Zbyszka, i wyciągnąwszy doń rękę, znów trzykrotnie ścisnął jego palce.

XIX.

Lecz nie miało i tym razem przyjść między nimi do bitki, gdyż Mikołaj z Długolasu, dowiedziawszy się od Jędrka z Kropiwnicy, o co im chodzi, wziął od obydwóch słowo, że się bez wiedzy księcia i komturów potykać nie będą, w razie zaś oporu groził zamknięciem bram. Zbyszkowi chciało się jak najprędzej zobaczyć Danusię, więc nie śmiał się sprzeciwiać, de Lorche zaś, który bił się chętnie, gdy było trzeba, ale nie był człowiekiem krwiożerczym, poprzysiągł bez trudności na swą rycerską cześć, iż będzie czekał na pozwolenie księcia, tem bardziej, że postępując przeciwnie, obawiałby się mu ubliżyć. Chodziło też Lotaryńczykowi, który nasłuchawszy się pieśni o turniejach, lubił świetne zgromadzenia i okazałe uroczystości, aby potykać się właśnie wobec dworu, dostojników i dam, gdyż sądził, że w ten sposób zwycięstwo jego nabierze większego rozgłosu i tem łatwiej złote ostrogi mu wyjedna. Przytem za-

ciekawiał go kraj i ludzie, więc po myśli była mu zwłoka, zwłaszcza, że Mikołaj z Długolasu, któren lata całe u Niemców w niewoli przesiedział i z cudzoziemcami mógł łatwo się rozmówić, dziwy opowiadał o łowach książęcych na różne bestye, nieznane już w krajach zachodnich. O północy więc ruszyli razem ze Zbyszkiem ku Przasnyszowi, mając ze sobą swe zbrojne poczty i ludzi z kagankami dla ochrony od wilków, które zbierając się zimą w nieprzeliczone gromady, mogły okazać się groźne nawet dla kilkunastu jeźdźców, choćby najlepiej uzbrojonych. Z tej strony Ciechanowa nie brakło już także lasów, które niedaleko za Przasnyszem przechodziły w olbrzymią puszczę Kurpieską, łączącą się na wschód z nieprzebytymi borami Podlasia i dalszej Litwy. Przed niedawnymi czasy tymi to borami spływała zwykle na Mazowsze, omijając jednak groźnych miejscowych osadników, dzicz litewska, która w r. 1337. doszła aż pod Ciechanów i zburzyła miasto. De Lorche z największą ciekawością słuchał opowiadań o tem starego przewodnika, Maćka z Turobojów, albowiem pałał w duszy chęcią zmierzenia się z Litwinami, których, jak i inni rycerze zachodni, za Saracenów uważał. Przybył on przecie w te strony na wyprawę krzyżową, pragnąc uzyskać sławę i zbawienie du-

szy, a jadąc, mniemał, że wojna nawet i z Mazurami, jako z pogańskim przez pół narodem, także zupełny odpust zapewnia. Oczom też prawie nie wierzył, gdy wjechawszy w Mazowsze, ujrzał kościoły po miastach, krzyże na wieżach, duchownych, rycerzy ze świętemi znamionami na zbrojach i naród bujny wprawdzie, zapalczywy, do zwady i bitki pochopny, ale chrześcijański i wcale od Niemców, wśród których młody rycerz przejeżdżał, nie drapieżniejszy. Więc gdy mu prawiono, że od wieków ten naród Chrystusa wyznaje, sam nie wiedział, co o Krzyżakach myśleć, a gdy się dowiedział, że i Litwę już nieboszczka królowa krakowska ochrzciła, zdumienie jego, a zarazem i troska nie miały granic.

Więc począł rozpytywać Maćka z Turobojów, czy w owych lasach, ku którym jadą, nie ma przynajmniej smoków, którym ludzie muszą ofiarowywać dziewice i z którymi możnaby walczyć. Lecz odpowiedź Maćka i pod tym względem sprawiła mu zawód zupełny.

— W borach jest rozmaity godny zwierz, jako wilcy, tury, żubry i niedźwiedzie, z którymi dość jest roboty — odrzekł Mazur. — Może też po bagnach są i duchy nieczyste, ale o smokach nie słyszałem, a choćby i były, pewniebyśmy im dziewek nie dawali, ale kupąbyśmy

na nie poszli. Ba, gdyby były, jużby dawno osadnicy puszczańscy pasy z ich skóry nosili!

— Co to za naród i czyby nie można z nim walczyć? — spytał de Lorche.

— Walczyć z nim można, ale niezdrowo — odrzekł Maćko — a wreszcie rycerzowi i nie przystoi, gdyż to jest naród chłopski.

— Szwajcarowie także są chłopami. Zali ci Chrystusa wyznają?

— Niemasz innych na Mazowszu, a ci są ludzie nasi i książęcy. Widzieliście przecie łuczników na zamku. Sami to Kurpie, albowiem niemasz nad nich łuczników w świecie.

— Anglicy i Szkoci, których na dworze burgundzkim widziałem.

— Widziałem ich i w Malborku — przerwał Mazur. — Tęgie pachołki, ale nie daj im Bóg kiedy przeciw tym stawać! U nich dzieciak w siedmiu leciech póty jeść nie dostanie, póki jadła strzałą z wierzchołka sosny nie zrzuci.

— O czem gadacie? — zapytał nagle Zbyszko, o którego uszy odbił się kilkakrotnie wyraz «Kurpie».

— O łucznikach kurpieskich i angielskich. Prawi ten rycerz, iże angielscy, a zasię szkoccy, nad wszystkimi celują.

— Widziałem ich i ja pod Wilnem. O wa! słyszałem ich groty koło uszu. Byli też tam

i rycerze ze wszystkich krajów, którzy zapowiadali, że nas bez soli zjedzą, ale popróbowawszy raz i drugi, stracili do jadła ochotę.

Maćko rozśmiał się i powtórzył słowa Zbyszkowe panu de Lorche.

— Mówili o tem na różnych dworach — odrzekł Lotaryńczyk; — chwalono tam zawziętość waszych rycerzy, ale przyganiano im, iż pogan przeciw krzyżowi bronią.

— Broniliśmy naród, który chciał się ochrzcić, przeciw napaściom i niesprawiedliwości. Niemcy to chcą ich w pogaństwie ukrywać, aby powód do wojny mieli.

— Bóg to osądzi — rzekł de Lorche.

— Może i niezadługo już — odpowiedział Maćko z Turobojów.

Lecz Lotaryńczyk, zasłyszawszy, iż Zbyszko był pod Wilnem, począł się go o nie wypytywać, albowiem wieść o walkach i pojedynkach rycerskich, tam stoczonych, rozeszła się już szeroko po świecie. Szczególniej ów pojedynek, na który wyzwało się czterech rycerzy polskich i czterech francuskich, podniecił wyobraźnię wojowników zachodnich. Więc de Lorche począł spoglądać z większym szacunkiem na Zbyszka, jako na człowieka, który w tak sławnych bojach brał udział, i radował się w sercu, iż nie z byle kim przyjdzie mu się potykać.

Jechali więc dalej w pozornej zgodzie, świadcząc sobie grzeczności na postojach i częstując się wzajem winem, którego de Lorche miał znaczne zapasy w wozach. Lecz gdy z rozmowy między nim a Maćkiem z Turobojów okazało się, że Ulryka de Elner naprawdę nie jest panną, ale czterdziestoletnią zamężną niewiastą, mającą sześcioro dzieci, wzburzyła się tem bardziej dusza w Zbyszku, że ów dziwny cudzoziemiec śmie «babę» nietylko z Danuśką porównywać, ale i pierwszeństwa dla niej wymagać. Pomyślał jednakowoż, że może to być człowiek niespełna zmysłów, któremu ciemna izba i batogi więcejby się przydały od podróży po świecie, i myśl ta powstrzymała w nim wybuch natychmiastowego gniewu.

— Czy nie myślicie — rzekł do Maćka — że zły duch rozum mu pomieszał? Może też siedzi mu dyabeł w głowie, jako czerw w orzechu i gotów po nocy na którego z nas przeskoczyć. Trzeba się nam mieć na baczności...

Usłyszawszy to, Maćko z Turobojów zaprzeczył wprawdzie, ale począł jednak spoglądać z pewnym niepokojem na Lotaryńczyka i w końcu rzekł:

— Czasem bywa, że ich w opętanym siedzi i sto i więcej, a ciasno li im, to radzi pomie-

szkania w innych ludziach szukają. Najgorszy też taki dyabeł, którego baba naśle.

Poczem zwrócił się nagle do rycerza:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— I ja go chwalę — odpowiedział z pewnem zdziwieniem de Lorche.

Maćko z Turobojów uspokoił się zupełnie.

— No, widzicie — rzekł — żeby w nim złe siedziało, zarazby się zapienił, alboby go o ziem rzuciło, bom go nagle zagabnął. Możem jechać.

Jakoż ruszyli dalej spokojnie. Z Ciechanowa do Przasnysza nie było zbyt daleko i latem goniec na dobrym koniu mógł we dwie godziny przebiedz drogę, dzielącą dwa miasta. Ale oni jechali daleko wolniej z powodu nocy, postojów i zasp śnieżnych, leżących w lasach, a ponieważ wyjechali znacznie po północy, więc do myśliwskiego dworu książęcego, który leżał za Przasnyszem, na brzegu borów, przybyli dopiero o brzasku. Dwór tam stał prawie oparty o puszczę, duży, nizki, drewniany, mający jednakże szyby w oknach ze szklanych gomółek. Przed dworem widać było żórawie studzienne i dwie szopy dla koni, naokół zaś dworu roiło się od szałasów, skleconych naprędce z sosnowych gałęzi, i od namiotów ze skór. Przy szarzejącym dopiero dniu błyszczały jasno przed namiotami ogniska, a wokół nich stali osacznicy

w kożuchach wełną do góry, w tołubach lisich, wilczych i niedźwiedzich. Panu de Lorche wydało się, że widzi dzikie bestye, na dwóch łapach przed ogniem, albowiem większość tych ludzi przybrana była w czapki, uczynione ze łbów zwierzęcych. Niektórzy stali wsparci na oszczepach, inni na kuszach, niektórzy zajęci byli zwijaniem ogromnych sieci z powrozów, inni obracali nad węgłami potężne ćwierci żubrze i łosie, przeznaczone widocznie na ranny posiłek. Blask płomienia padał na śnieg, oświecając zarazem te dzikie postacie, poprzesłaniane nieco dymem z ognisk, mgłą oddechów i parą, podnoszącą się z pieczonych mięsiw. Za nimi widać było zaróżowione pnie olbrzymich sosen i nowe gromady ludzi, których mnogość dziwiła nieprzywykłego do widoku takich łowieckich zebrań Lotaryńczyka.

— Wasi książęta — rzekł — na łowy jakoby na wojenne wyprawy chodzą.

— Jakbyście wiedzieli — odrzekł Maćko z Turobojów — że nie brak im ni myśliwskiego sprzętu, ni też ludzi. To są osacznicy książęcy, ale są też i inni, którzy dla targu z puszczańskich komyszy tu przychodzą.

— Co będziem czynili? — przerwał Zbyszko — we dworze śpią jeszcze.

— A no, zaczekamy, aż się pobudzą — od-

parł Maćko. — Przecie nie będziem do drzwi kołatać i księcia, pana naszego, budzić.

To rzekłszy, zaprowadził ich do ogniska, przy którem osacznicy ponarzucali im skór żubrzych i niedźwiedzich, a następnie poczęli ich skwapliwie częstować dymiącem mięsem, słysząc zaś obcą mowę, jęli się skupiać, ażeby na Niemca popatrzeć. Wnet rozniosło się przez ludzi Zbyszkowych, że to jest rycerz «aż z za morza», i wówczas stało się naokół tak ciasno, że pan na Turobojach musiał użyć powagi, aby cudzoziemca od zbytniej ciekawości uchronić. De Lorche zauważył też w tłumie niewiasty, poprzybierane przeważnie również w skóry, ale rumiane, jak jabłka i nadzwyczaj urodziwe, więc począł pytać, czy one także w łowach biorą udział.

Maćko Turobojski wyjaśnił mu, że do łowów one nie należą, ale że przybywają wraz z osacznikami przez babską ciekawość, albo jakby na jarmark, dla kupna miejskich towarów i sprzedaży leśnych bogactw. Jakoż tak było w istocie. Ów dworzec książęcy był jakby ogniskiem, naokół którego nawet w czasie nieobecności księcia kupiły się dwa żywioły: miejski i leśny. Osacznicy nie lubili wychodzić z puszczy, gdyż nieswojo im było bez szumu drzew nad głowami, więc Przasnyszanie zwozili na ową leśną kra-

wędź słynne swe piwa, mąkę mieloną w miejskich wiatrakach, lub na wodnych młynach na Węgierce, sól rzadką w puszczy i poszukiwaną chciwie, żelaziwo, rzemienie i tym podobny owoc ludzkiej przemyślności, a brali w zamian skóry, kosztowne futra, suszone grzyby, orzechy, zioła w chorobach przydatne, lub bryłki bursztynu, o które między Kurpiami nie było zbyt trudno. Z tego powodu około książęcego dworca wrzał jakby ustawiczny targ, który potęgował się jeszcze w czasie książęcych łowów, gdy i obowiązek, i ciekawość wywabiały mieszkańców z głębin leśnych.

De Lorche słuchał opowiadań Maćkowych, przypatrując się z zajęciem postaciom osaczników, którzy, żyjąc w zdrowem, żywicznem powietrzu i karmiąc się, jak zresztą większość chłopów ówczesnych, przeważnie mięsem, zdumiewali nieraz zagranicznych wędrowców wzrostem i siłą, Zbyszko zaś, siedząc przy ogniu, spoglądał ustawicznie na drzwi i okna dworca, zaledwie mogąc wytrwać na miejscu. Świeciło się tylko jedno okno, widocznie od kuchni, gdyż dym wychodził przez szpary między niedość szczelnie dopasowanemi szybami. Inne były ciemne, połyskujące tylko od blasków dnia, który bielał z każdą chwilą i posrebrzał coraz mocniej ośnieżoną puszczę za dworem. W małych

drzwiach, wybitych w bocznej ścianie domostwa, ukazywała się czasem służba w barwie książęcej i z wiadrami, lub cebrami na powerkach, biegła po wodę do studzien. Ludzie ci, zapytywani, czy wszyscy śpią jeszcze, odpowiadali, że dwór, strudzon wczorajszymi łowami, spoczywa dotąd, ale że już warzy się strawa na ranny posiłek przed wyruszeniem.

Jakoż przez okno kuchenne począł wydobywać się zapach tłuszczów i szafranu, który rozszedł się daleko między ogniskami. Skrzypnęły wreszcie i otwarły się drzwi główne, odkrywając wnętrze suto oświeconej sieni, i na ganek wyszedł człowiek, w którym Zbyszko na pierwszy rzut oka poznał jednego z rybałtów, których w swoim czasie widział między służbą księżnej w Krakowie. Na ów widok, nie czekając na Maćka z Turobojów, ni na de Lorcha, Zbyszko skoczył z takim pędem ku dworowi, że aż zdziwiony Lotaryńczyk zapytał:

— Co się stało temu młodemu rycerzowi?

— Nic się nie stało — odrzekł Maćko z Turobojów — jeno miłuje jedną dworkę księżnej i radby ją jako najprędzej uwidzieć.

— Ach! — odpowiedział de Lorche, przykładając obie dłonie do serca.

I podniósłszy oczy w górę, począł wzdychać

raz po raz tak żałośnie, że aż Maćko wzruszył ramionami i w duchu rzekł:

— Zaliby do swojej starki tak wzdychał? Nużby szczerze był niespełna rozumu?

Ale tymczasem wprowadził go do dworca i obaj znaleźli się w obszernej sieni, przybranej rogami turów, żubrów, łosi, jeleni i oświeconej przez płonące na potężnym kominie suche kłody. W środku stał nakryty kilimkiem stół z przygotowanemi misami do jadła. W sieni było zaledwie kilku dworzan, z którymi rozmawiał Zbyszko; Maćko z Turobojów zapoznał ich z panem de Lorche, ale że nie umieli po niemiecku, musiał sam dalej dotrzymywać mu towarzystwa. Jednakże dworzan przybywało co chwila, chłopów po większej części na schwał, surowych jeszcze, ale rosłych, pleczystych, płowowłosych, poprzybieranych już, jak do puszczy. Ci, którzy znali Zbyszka i wiedzieli o jego przygodach krakowskich, witali się z nim, jak ze starym przyjacielem, i znać było, że ma mir między nimi. Inni patrzyli na niego z takim podziwem, z jakim zwykle patrzy się na człowieka, nad którego karkiem wisiał topór katowski. Na okół słychać było głosy: «Jużci! Jest księżna, jest Jurandówna, zaraz ją tu ujrzysz nieboże i na łowy z nami pojedziesz». A wtem weszli dwaj goście krzyżaccy, brat Hugo de Danveld, sta-

rosta z Ortelsburga, czyli ze Szczytna, którego krewny był w swoim czasie marszałkiem i Zygfryd de Löwe, także z zasłużonej w Zakonie rodziny, wójt z Jansborku. Pierwszy dość młody jeszcze, ale otyły, z twarzą chytrego piwożłopa i grubemi, wilgotnemi wargami, drugi wysoki, o rysach surowych, ale szlachetnych. Zbyszkowi wydało się, że Danvelda widział niegdyś przy księciu Witoldzie i że go Henryk, biskup płocki, zwalił w gonitwach z konia, lecz wspomnienia owe pomieszało mu wejście księcia Janusza, ku któremu zwrócili się z pokłonami i Krzyżacy i dworzanie. Zbliżył się ku niemu de Lorche i komturowie i Zbyszko, on zaś witał uprzejmie, ale z powagą na swej bezwąsej, wieśniaczej twarzy, okolonej włosami, obciętymi równo nad czołem, a spadającymi aż na ramiona po obu bokach. Wnet zagrzmiały za oknami trąby, na znak, że książę zasiada do stołu; zagrzmiały raz, drugi, trzeci, aż za trzecim razem otworzyły się duże drzwi po prawej stronie izby i ukazała się w nich księżna Anna, mając przy sobie cudną przetowłosą dzieweczkę z lutnią, zawieszoną na ramieniu.

Ujrzawszy je, Zbyszko wysunął się naprzód i złożywszy przy ustach ręce, klęknął na oba kolana w postawie pełnej czci i uwielbienia.

Na ten widok szmer uczynił się w sali, gdyż

zdziwił Mazurów postępek Zbyszka, a nawet niektórych i zgorszył. «A wiera — mówili starsi — pewnikiem nauczył się tego obyczaju od zamorskich jakowychś rycerzy, a może zgoła od pogan, gdyż niemasz go nawet między Niemcami». Młodzi wszelako myśleli: «Nie dziwota, toć dziewce szyję powinien». A księżna i Jurandówna nie poznały zrazu Zbyszka, gdyż klęknął plecami do ognia i twarz miał w cieniu. Księżna myślała w pierwszej chwili, iż to któryś z dworzan, zawiniwszy coś względem księcia, prosi jej o wstawiennictwo, lecz Danusia, która wzrok miała bystrzejszy, postąpiła krok naprzód, i pochyliwszy swą jasną głowę, krzyknęła nagle cienkim, przeraźliwym głosem:

— Zbyszko!

Poczem, nie myśląc o tem, że patrzy na nią cały dwór i zagraniczni goście, skoczyła jak sarna ku młodemu rycerzowi i objąwszy go ramionami, poczęła całować jego oczy, usta, policzki, tuląc się do niego i piszcząc przytem z wielkiej radości póty, póki nie zagrzmieli jednym wielkim śmiechem Mazurowie i póki księżna nie pociągnęła jej za kołnierz ku sobie.

Wówczas spojrzała po ludziach, i stropiwszy się okrutnie, z równą szybkością schowała się za księżnę, ukrywszy się w faldach jej spódnicy tak, że jej ledwie wierzch głowy było widać.

Zbyszko objął nogi pani, ta zaś podniosła go i poczęła witać, a zarazem wypytywać się o Maćka: czy zmarł, czy też żyw, a jeśli żyw, czy nie przyjechał także na Mazowsze? Zbyszko odpowiadał niezbyt przytomnie na te pytania, albowiem przechylając się na obie strony, starał się dojrzeć za księżną Danuśkę, która to wychylała się przez ten czas ze spódnicy pani, to znów dawała nurka w jej fałdy. Mazurowie w boki się brali na owo widowisko, śmiał się i sam książę, aż wreszcie, gdy wniesiono gorące misy, zwróciła się rozradowana pani do Zbyszka i rzekła:

— Służ-że nam, miły służko, a bogdaj nie tylko przy jedle, ale i na zawsze.

Potem zaś do Danusi:

— A ty, mucho utrapiona, wyleź-że raz z za spódnicy, bo mi ją do reszty oberwiesz.

Więc Danusia wyszła z za spódnicy, spłoniona, pomieszana, podnosząca co chwila na Zbyszka oczy lękliwe, zawstydzone, a ciekawe i tak cudna, że aż rozpłynęło się serce nietylko w Zbyszku, ale i w innych mężach: starosta krzyżacki ze Szczytna począł przykładać raz po razu dłoń do swych grubych, wilgotnych warg, de Lorche zaś zdumiał się, podniósł obie ręce w górę i zapytał:

— Na św. Jakóba z Kompostelli, kto jest ta dziewica?

Na to starosta ze Szczytna, który przy otyłości był nizki, podniósł się na palce i rzekł do ucha Lotaryńczyka:

— Córka dyabła.

De Lorche popatrzał na niego, mrugając oczyma, następnie zmarszczył brwi i zaczął mówić przez nos:

— Nie praw to rycerz, który przeciw piękności szczeka.

— Noszę złote ostrogi i jestem zakonnikiem — odparł z wyniosłością Hugo de Danveld. Tak wielka była cześć dla pasowanych rycerzy, iż Lotaryńczyk spuścił głowę, lecz po chwili odrzekł:

— A jam krewny książąt Brabantu.

— Pax! Pax! — odpowiedział Krzyżak. — Cześć potężnym książętom i przyjaciołom Zakonu, z którego rąk wkrótce, panie, złote ostrogi otrzymacie. Nie odmawiam ja urody tej dziewce, ale posluchajcie, kto jest jej ojciec.

Lecz nie zdążył nic odpowiedzieć, albowiem w tej chwili książę Janusz zasiadł do śniadania, a dowiedziawszy się poprzednio od wójta z Jansborku o wielkich pokrewieństwach pana de Lorche, dał mu znak, aby siadł koło niego. Naprzeciw zajęła miejsce księżna z Danusią, Zbyszko

zaś stanął, jak ongi w Krakowie, za ich krzesłami do usługi. Danusia trzymała głowę, jak mogła najniżej nad miską, bo wstyd jej było ludzi, ale trochę na bok, by Zbyszko mógł widzieć jej twarz. On zaś patrzał chciwie i z zachwyceniem na jej jasną drobną głowę, na różowy policzek, na ramiona, przybrane w obcisłą odzież, które przestawały już być dziecinne, i czuł, że wzbiera w nim jakby rzeka nowej miłości, która zalewa mu całe piersi. Czuł także na oczach, na ustach i na twarzy świeże jej pocałunki. Niegdyś dawała mu je ona tak, jak siostra bratu, i on przyjmował je, jak od miłego dziecka. Teraz, na świeże ich wspomnienie działo się z nim to, co czasem działo się przy Jagience: brały go ciągoty i ogarniała go omdlałość, pod którą taił się żar, jak w przysypanem popiołem ognisku. Danusia wydawała mu się dorosłą zupełnie panną, bo też i rzeczywiście wyrosła, rozkwitła. A przytem tyle i tak ciągle mówiono przy niej o miłości, że równie jak pączek kwiatowy, przygrzany słońcem, kraśnieje i otwiera się coraz bardziej, tak i jej otworzyły się oczy na miłość i skutkiem tego było w niej teraz coś, czego nie było poprzednio, jakaś uroda już nietylko dziecinna i jakaś ponęta mocna, upajająca, bijąca od niej tak, jak bije ciepło od płomienia, albo zapach od róży.

Zbyszko to czuł, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, gdyż się zapamiętał. Zapomniał nawet o tem, że trzeba przy stole służyć. Nie widział, że dworzanie patrzą na niego, trącają się łokciami, że pokazują sobie ich oboje z Danusią i śmieją się. Nie zauważył również ani jakby skamieniałej ze zdumienia twarzy pana de Lorche, ani wypukłych oczu krzyżackiego starosty ze Szczytna, które ustawicznie utkwione były w Danusię i odbijając zarazem płomień komina, wydawały się tak czerwone i błyszczące, jak wilcze. Ocknął się dopiero, gdy trąby ozwały się ponownie, dając znak, że czas do puszczy, i gdy księżna Anna Danuta, zwróciwszy się ku niemu, rzekła:

— Przy nas pojedziesz, abyś zaś miał uciechę i dziewce o kochaniu mógł prawić, czego i ja rada posłucham.

To powiedziawszy, wyszła z Danusią, aby się na koń przybrać. Zbyszko zaś skoczył na podwórzec, na którym trzymano już pokryte sędzielizną i parskające konie dla księstwa, gości i dworzan. Na dziedzińcu nie było tak rojno, jak przedtem, gdyż osacznicy wyszli już pierwej z sieciami i potonęli w puszczy. Ogniska poprzygasały, dzień uczynił się jasny, mroźny, śnieg skrzypiał, a z drzew, poruszanych lekkim powiewem, sypała się sadź sucha, iskrząca.

Wkrótce wyszedł i siadł na koń książę, mając za sobą pachołka z kuszą i z oszczepem, tak długim i ciężkim, że mało kto mógł nim władać; książę jednak władał nim z łatwością, albowiem, jak i inni Piastowie mazowieccy, posiadał siłę nadzwyczajną. Bywały nawet i takie niewiasty w tym rodzie, które wychodząc za obcych książąt, zwijały w palcach przy weselnych ucztach szerokie tasaki żelazne [1]). Blizko księcia trzymało się też dwóch mężów, gotowych w nagłym razie do pomocy, a wybranych ze wszystkich dziedziców ziemi Warszawskiej i Ciechanowskiej, strasznych na samo wejrzenie, o barach, jak pnie leśne, na których patrzał z podziwem przybyły z daleka pan de Lorche.

Tymczasem wyszła i księżna z Danusią, obie przybrane w kaptury ze skór białych łasic. Nieodrodna córka Kiejstuta lepiej umiała «szyć» z łuku, niż igłą, niesiono więc i za nią ozdobną, nieco tylko lżejszą od innych kuszę. Zbyszko, przyklęknąwszy na śniegu, wyciągnął rękę, na której pani wsparła, siadając na koń, nogę, poczem wniósł w górę Danusię, tak samo, jak w Bogdańcu unosił Jagienkę, i ruszyli. Orszak wyciągnął się w długiego węża; skręcił na

[1]) Cymbarka, która wyszła za Ernesta Żelaznego Habsburga.

prawo od dworu, mieniąc się i migocąc na brzegu puszczy, jak barwna krajka na brzegu ciemnego sukna, a następnie począł się w nią zwolna zanurzać.

Byli już dość głęboko w boru, gdy księżna, zwróciwszy się do Zbyszka, rzekła:

— Przecz-że nie gadasz? Nuże, mów do niej.

Zbyszko, lubo tak zachęcony, milczał jeszcze przez chwilę, albowiem opanowała go jakaś nieśmiałość, i dopiero po upływie jednej iub dwóch Zdrowasiek, ozwał się:

— Danuśka!

— Co, Zbyszku?

— Miłuję cię tak...

Tu zaciął się, szukając słów, o które było mu trudno, bo chociaż klękał, jak zagraniczny rycerz przed dziewczyną, choć wszelkimi sposobami cześć jej okazywał i starał się unikać gminnych wyrażeń, jednakże próżno się silił na dworność, gdyż mając duszę polną, tylko po prostu umiał mówić.

Więc i teraz po chwili rzekł:

— Miłuję cię tak, aże mi dech zapiera!

Ona zaś podniosła na niego z pod łasiczego kapturka modre oczęta i twarz, wyszczypaną na różowo przez zimne leśne powietrze.

— I ja, Zbyszku! — odrzekła, jakby z pośpiechem.

Poczem zaraz nakryła oczy rzęsami, bo już wiedziała, co to jest miłość.

— Hej, krocie ty moje! hej, dziewczyno ty moja! — zawołał Zbyszko. — Hej!...

I znowu umilkł ze szczęścia i ze wzruszenia, lecz dobra, a zarazem ciekawa księżna przyszła im powtórnie z pomocą:

— Powiadaj-że — rzekła — jako ci się cniło bez niej, a zdarzy się li gąszczyk, to choćbyś ją tam i w gębę pocałował, nie będę krzywa, boć to najlepiej o twojem kochaniu zaświadczy.

Więc począł opowiadać, «jako mu się cniło» bez niej i w Bogdańcu, przy doglądaniu Maćka i między «somsiadami». O Jagience nic tylko nie wspominał chytry wykrętnik, ale zresztą szczerze mówił, bo w tej chwili tak kochał śliczną Danusię, że chciało mu się chwycić ją, przesadzić na swego konia, wziąć przed się i trzymać przy piersiach.

Nie śmiał jednak tego uczynić; natomiast gdy pierwszy gąszczyk przedzielił ich od jadących za nimi dworzan i gości, pochylił się ku niej, objął ją i pochował twarz w łasiczy kaptur, świadcząc tym uczynkiem o swej miłości.

Ale że zimą niema liści na krzach leszczynowych, dojrzał go Hugo von Danveld i pan de Lorche, dojrzeli go również dworzanie i poczęli między sobą mówić:

— Pobočkał ci ją przy księżnie! Wierę, jako wnet im pani weselisko wyprawi.

— Chwacki to jakiś pachołek, ale i ona siarczysta Jurandowa krew!

— Krzemień to i krzesiwo, choć dziewka niby trusia. Pójdą z nich iskry, nie bój się! Przywarł ci do niej, jak kleszcz do żywej skóry!

Tak oni rozmawiali, śmiejąc się, lecz starosta krzyżacki ze Szczytna zwrócił ku panu de Lorche swą koźlą, złą i lubieżną twarz i zapytał:

— Czy chcielibyście, panie, by jaki Merlin zmienił was czarnoksięską mocą w tamtego oto rycerzyka? [1])

— A wy, panie? — zapytał de Lorche.

Na to Krzyżak, w którym widocznie zawrzała zazdrość i żądza, ściągnął niecierpliwą ręką konia i zawołał:

— Na moją duszę!...

W tej chwili jednak opamiętał się, i pochyliwszy głowę, odrzekł:

— Zakonnikiem jestem, który ślubował czystość.

I spojrzał bystro na Lotaryńczyka, w oba-

---

[1]) Rycerz Uter, zakochawszy się w cnotliwej Igernie, małżonce księcia Gorlasa, przybrał z pomocą Merlina postać Gorlasa i spłodził z Igerną króla Artura.

wie, czy nie zobaczy na jego twarzy uśmiechu, albowiem pod tym względem Zakon złą miał sławę u ludzi, a między zakonnikami Hugo de Danveld najgorszą. Był on przed kilku laty pomocnikiem wójta w Sambii i tam skargi na niego stały się tak głośne, że pomimo całej pobłażliwości, z jaką patrzano na podobne sprawy w Malborku, musiano go przenieść na dowódcę zamkowej załogi w Szczytnie. Przybywszy w ostatnich dniach z tajnemi zleceniami na dwór księcia i ujrzawszy cudną Jurandównę, zapałał do niej żądzą, dla której wiek Danusi nie był żadnym hamulcem, albowiem w tych czasach młodsze od niej wychodziły za mąż. Lecz, że zarazem wiedział Danveld, jaki był ród dziewczyny i że imię Juranda łączyło się ze strasznem wspomnieniem w jego pamięci, więc i jego żądza wyrosła na podkładzie dzikiej nienawiści.

A de Lorche począł go właśnie wypytywać o te dzieje.

— Nazwaliście, panie, tę piękną dziewicę córką dyabła; dlaczegoście ją tak nazwali?

Danveld począł na to opowiadać historyę Złotoryi: jako przy odbudowywaniu zamku porwano szczęśliwie księcia wraz z dworem i jako w tem zdarzeniu zginęła matka Jurandówny, za którą Jurand mścił się od owej pory w okro-

pny sposób na wszystkich rycerzach zakonnych. I nienawiść buchała z Krzyżaka przy tem opowiadaniu, jak płomień, albowiem miał i osobiste do niej powody. Oto i on sam zetknął się przed dwoma laty z Jurandem, ale wówczas, na widok strasznego «Dzika ze Spychowa», pierwszy raz w życiu upadło w nim serce tak nikczemnie, że opuścił dwóch swoich krewnych, ludzi, łupy i jak obłąkany uciekał dzień cały aż do Szczytna, gdzie z trwogi na długi czas zachorzał. Gdy przyszedł do zdrowia, wielki marszałek Zakonu oddał go pod sąd rycerski, którego wyrok uniewinnił go wprawdzie, gdy Danveld poprzysiągł na krzyż i cześć, że rozhukany koń uniósł go z pola walki, ale zamknął mu drogę do wyższych dostojeństw w Zakonie. Krzyżak zamilczał wprawdzie teraz o tych wypadkach przed panem de Lorche, natomiast wypowiedział tyle skarg na okrucieństwo Juranda i zuchwałość całego polskiego narodu, że wszystko to zaledwie mogło pomieścić się w głowie Lotaryńczyka.

— My wszelako — rzekł po chwili — jesteśmy u Mazurów, nie u Polaków?

— To osobne księstwo, ale jeden naród — odpowiedział starosta — jednaka ich bezecność i jednaka przeciw Zakonowi zawziętość. Bóg

daj, aby niemiecki miecz całe to plemię wygubił!

— Słusznie mówicie, panie: bo żeby ten książę, który na pozór zacny się wydaje, śmiał zamek przeciw wam w waszych ziemiach wznosić, o podobnem bezprawiu nawet i między poganami nie słyszałem.

— Zamek on wznosił przeciw nam, ale Złotorya leży w jego, nie w naszych ziemiach.

— Tedy chwała Chrystusowi, że wam dał nad nim zwycięstwo. Jako-że skończyła się ta wojna?

— Nie było wówczas wojny.

— A wasze zwycięstwo pod Złotoryą?

— Bóg nam właśnie i w tem pobłogosławił, że książę był bez wojska, jeno z dworem i niewiastami.

Na to de Lorche spojrzał ze zdumieniem na Krzyżaka.

— Jakto? Więc w czasie pokoju napadliście na niewiasty i na księcia, który we własnych ziemiach zamek budował?

— Dla chwały Zakonu i chrześcijaństwa nie masz bezecnych uczynków.

— A ów że straszny rycerz jeno za młodą małżonkę pomsty szuka, zabitą przez was czasu pokoju?

— Kto przeciw Krzyżakowi rękę podnosi, synem ciemności jest.

Zadumał się, usłyszawszy to, pan de Lorche, ale nie miał już czasu Danveldowi odpowiedzieć, gdyż wyjechali na obszerną, zaśnieżonym szuwarem pokrytą polankę, na której książę zsiadł z konia, a za nim poczęli zsiadać i inni.

XX.

Biegli leśnicy poczęli pod wodzą wielkiego łowczego rozstawiać myśliwych długim rzędem na skraju polany, tak, aby będąc sami w ukryciu, mieli przed sobą pustą przestrzeń, ułatwiającą strzały z kusz i łuków. Dwa krótsze boki polany obstawione były sieciami, za któremi taili się borowi, «nawrotnicy», których obowiązkiem było nawracać zwierza ku strzelcom, lub, jeśli nie dając się spłoszyć, zaplątywał się w sieciach, dobijać go oszczepami. Nieprzeliczone gromady Kurpiów, umiejętnie rozstawione w tak zwaną otokę, miały pędzić wszelkie żywe stworzenie z głębi leśnych na polanę. Za strzelcami znów znajdowała się sieć, rozpięta w tym celu, by zwierz, który zdoła przedrzeć się przez ich szereg, został nią powstrzymany i w jej skrętach dobity.

Książę stanął w pośrodku szeregu w lekkiem zagłębieniu, które biegło przez całą szerokość polany. Główny łowczy, Mrokota z Mocarzewa,

wybrał mu to stanowisko, wiedząc, że tam właśnie wgłębieniem będzie pomykał przed otoką najgrubszy zwierz z puszczy. Sam książę miał w ręku kuszę, tuż pod bokiem pana stał oparty o drzewo ciężki oszczep, a nieco z tyłu trzymali się dwaj «brońcy« z toporami na ramionach, ogromni, do pni leśnych podobni, którzy prócz toporów mieli jeszcze gotowe napięte kusze dla podania księciu w razie potrzeby. Księżna i Jurandówna nie zsiadały z koni, albowiem nie zezwalał na to nigdy książę ze względu na niebezpieczeństwo od turów i żubrów, przed których wściekłością łatwiej się było w razie wypadku chronić konno, niż pieszo. De Lorche, lubo wezwany przez księcia, aby zajął miejsce po prawej jego stronie, prosił, aby mu wolno było zostać dla obrony dam na koniu, i stał opodal księżnej, do długiego gwoździa podobny, z rycerską kopią, z której poddrwiwali zcicha pod wąsem Mazurowie, jako z broni, mało na łowach przydatnej. Natomiast Zbyszko wbił oszczep w śnieg, kuszę przekręcił na plecy i stojąc przy koniu Danusi, podnosił ku niej głowę, chwilami szeptał do niej, a chwilami obejmował jej nogi i całował kolana, albowiem wcale się już przed ludźmi ze swoją miłością nie krył. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy Mrokota z Mocarzewa, który w puszczy ośmielał się i na sa-

mego księcia burczeć, nakazał mu groźnie milczenie.

Tymczasem daleko, daleko w głębi puszczy ozwały się rogi kurpieskie, którym z polany odpowiedział krótko wrzaskliwy głos krzywuły, poczem nastała cisza zupełna. Ledwie niekiedy zaskrzeczała sójka w wierzchołkach sosen, niekiedy zakrakali jak kruki ludzie z otoki. Myśliwi wytężyli oczy na białą pustą przestrzeń, na której wiatr poruszał oszronionem sitowiem i bezlistnymi krzami wikliny; każdy czekał z niecierpliwością, jaki też pierwszy zwierz pojawi się na śniegu, wogóle zaś wróżono sobie łowy obfite i wspaniałe, gdyż puszcza roiła się od żubrów, turów, dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów i kilka niedźwiedzi, które zbudzone w ten sposób, chodziły po gąszczach złe, głodne i czujne, domyślając się, że wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę nie o spokojny sen zimowy, ale o życie.

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza ku klamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny szmat boru i szli z tak daleka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów, które zaraz po odezwaniu się trąb spuszczone zostały ze smyczy. Jeden z nich, spuszczony widocznie za wcześnie, albo też włóczący się luzem za chło-

pami, ukazał się na polanie, i przebiegłszy ją całą z nosem ku ziemi, przeszedł między myśliwcami. I znów uczyniło się pusto i cicho, tylko nawrotnicy krakali ciągle jak krucy, dając w ten sposób znać, że wkrótce robota się rozpocznie. Jakoż po upływie kilku pacierzy na skraju pojawiły się wilki, które jako najczujniejsze, pierwsze usiłowały się wynieść z obieży. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zawietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór, szukając widocznie innego wyjścia. Potem dziki, wynurzywszy się z kniei, poczęły biedz długim, czarnym łańcuchem przez zaśnieżoną przestrzeń, podobne zdala do swojskiej trzody chlewnej, która na wołanie gospodarnej niewiasty zdąża, trzęsąc uszyma, ku chacie. Ale łańcuch ów zatrzymał się, słuchał, wietrzył, zawracał i znów słuchał; wyboczył ku sieciom i poczuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliżając się coraz ostrożniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów i póki pierwsza krew nie splamiła bladej, śnieżystej podścieli.

Wówczas rozległ się okrzyk i stado rozproszyło się, jakby w nie piorun uderzył: jedne poszły naoślep przed siebie, drugie rzuciły się ku sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę,

to po kilka, mieszając się z innym zwierzem, od którego zaroiła się tymczasem polana. Już też dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadania psów i daleki gwar ludzi, idących w głównej ławie z głębi boru. Mieszkańcy leśni, odpędzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapełniali coraz szczelniej leśną łąkę. Nic podobnego nie można było zobaczyć nietylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było już takich puszcz, jak na Mazowszu. Krzyżacy, chociaż bywali na Litwie, gdzie czasem zdarzało się, że żubry, uderzając na wojsko, sprawiały w niem zamieszanie [1]), dziwili się niepomału tej niezmiernej ilości zwierza, a zwłaszcza dziwił się pan de Lorche. Stojąc przy księżnie i dwórkach jak żóraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić, począł on już był nudzić się, marznąć w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż oto ujrzał przed sobą całe stada lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane z sobą, wichrzące po polanie, oślepione trwogą i szukające napróżno wyjścia. Księżna, w której na ten widok

[1]) O podobnych wypadkach wspomina Wigand z Marburga.

zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew, wypuszczała grot za grotem w ową pstrą ciżbę, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleń lub łoś wspinał się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami. Inne dworki pochylały też często twarze ku kuszom, albowiem wszystkie ogarnął zapał myśliwski. Jeden tylko Zbyszko nie myślał o łowach, ale wsparłszy łokcie na kolanach Danusi, a głowę na dłoniach, patrzył jej w oczy, ona zaś, nawpół śmiejąca się, nawpół zawstydzona, próbowała mu zamykać palcami powieki, niby nie mogąc takiego wzroku wytrzymać.

Lecz uwagę pana de Lorche zwrócił ogromny, siwy na karku i łopatkach niedźwiedź, który niespodzianie wychynął z szuwarów w pobliżu strzelców. Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł ku niemu z oszczepem i gdy zwierz podniósł się, rycząc okropnie, na zadnie łapy, skłół go na oczach całego dworu tak sprawnie i szybko, że żaden z dwu «brońców» nie potrzebował użyć topora. Pomyślał tedy młody Lotaryńczyk, że jednak niewielu panów, na dworach których bawił po drodze, ważyłoby się na taką zabawę i że z takimi książęty i z takim ludem ciężką może Zakon mieć kiedyś przeprawę i ciężkie przeżyć godziny. Lecz w dalszym ciągu zobaczył skłóte w ten sposób przez

innych myśliwych srogie, białokływe odyńce, ogromne, daleko większe i zacieklejsze od tych, na które polowano w lasach Niższej Lotaryngii i w puszczach niemieckich. Tak wprawnych i dufnych w siłę dłoni łowców, ani też takich uderzeń oszczepem nie widział pan de Lorche nigdzie, co, jako człowiek bywały, tłómaczył sobie tem, że wszyscy ci, wśród niezmiernych borów siedzący ludzie, przywykają od dziecięcych lat do kuszy i oszczepu, zaczem i do większej w ich użyciu dochodzą od innych biegłości.

Polana usłała się wreszcie gęsto trupami wszelkiego rodzaju zwierząt, lecz łowom daleko jeszcze było do końca. Owszem, najciekawsza, a zarazem najbardziej niebezpieczna ich chwila miała dopiero nadejść, gdyż otoka wparła właśnie na pustać kilkanaście żubrów i turów. Chociaż w lasach trzymały się one zwykle osobno, szły teraz pomieszane razem, ale bynajmniej nie oślepłe z trwogi, raczej groźne, niż przerażone. Nie szły też zbyt szybko, jakby pewne w poczuciu okrutnej siły, że złamią wszelkie zapory i przejdą, ziemia jednak zaczęła dudnić pod ich ciężarem. Brodate byki, idące na czele gromady ze łbami nizko nad ziemią, zatrzymywały się chwilami, jakby rozważając, w którą stronę uderzyć. Z potwornych ich płuc wydobywał się głuchy ryk, do podziemnego grzmotu

podobny, z nozdrzów dymiło parą, a kopiąc śnieg przedniemi nogami, zdawały się upatrywać z pod grzyw krwawemi oczyma ukrytego nieprzyjaciela.

Tymczasem nawrotnicy podnieśli ogromny krzyk, któremu od strony głównej ławy i od skrzydeł otoki odpowiedziały setki gromkich głosów; zawrzasły rogi i piszczałki; zadrżała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmiderem goniące po tropie psy kurpieskie. Widok ich wprawił w mgnieniu oka we wściekłość samice, mające przy sobie młode. Idące dotąd zwolna, stado rozproszyło się w szalonym pościgu po całej polanie. Jeden z turów, płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, ogromem żubry przenoszący, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców, zawrócił ku prawej stronie polany, poczem ujrzawszy o kilkadziesiąt kroków między drzewami konie, zatrzymał się i hucząc, począł orać rogami ziemię, jakby podniecając się do skoku i walki.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy: — «Księżna! księżna! ratujcie panią!» Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu, za nim skoczyło kilku Litwinów, gotowych

zginąć w obronie córki Kiejstuta, a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot i przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia, utkwił w jego karku.

— Dostał! — zawołała księżna — nie pójdzie...

Ale dalsze jej słowa zgłuszył ryk tak straszliwy, że aż konie przysiadły na zadach. Tur rzucił się, jak burza, wprost na panią, lecz nagle z niemniejszym pędem wypadł z pomiędzy drzew mężny pan de Lorche i pochylony na koniu, z kopią, wyciągniętą jak na rycerskim turnieju, runął wprost na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopię, utkwioną w karku byka, która wnet wygięła się, jak pałąk, i prysła w drobne złamki, zaczem olbrzymi rogaty łeb zniknął całkiem pod brzuchem konia pana de Lorche i zanim kto z obecnych zdołał wykrzyknąć, i rumak i jeździec wylecieli jak z procy w powietrze.

Koń, spadłszy na bok, począł bić w przedśmiertelnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia, pan de Lorche leżał w pobliżu bez ruchu, podobny na śniegu do żelaznego klina, tur zaś zdawał się przez chwilę wahać, czy nie pominąć ich i nie uderzyć na inne konie, lecz mając tuż przed sobą te pierwsze ofiary, zwrócił się znów ku nim i jął pastwić się nad nieszczęsnym rumakiem,

gniotąc go łbem i orząc z wściekłością rogami jego otwarty brzuch.

Z boru jednakże sypnęli się ludzie na ratunek obcego rycerza; Zbyszko, któremu chodziło o ochronę księżnej i Danusi, dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w ręku, on sam zaś upadł twarzą w śnieg. «Zginął! zginął!» — ozwały się głosy biegnących z pomocą Mazurów. Tymczasem łeb byka pokrył Zbyszka i przycisnął go do ziemi. Od strony księcia już już nadbiegali dwaj potężni «brońcy»,. byliby jednak przybyli za późno, gdyby na szczęście nie uprzedził ich darowany przez Jagienkę Zbyszkowi Czech, Hlawa. Ten dopadł przed nimi i podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w pochylony kark tura tuż za rogami.

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął, jak gromem rażony, z przerąbanymi kręgami i łbem niemal do polowy odwalonym, lecz padając, przygniótł Zbyszka. Obaj «brońcy» odciągnęli w mgnieniu oka potworne cielsko, a tymczasem księżna i Danusia, zeskoczywszy z koni, nadbiegły, nieme z przerażenia, do rannego młodzianka.

On zaś blady, cały zalany krwią tura i własną, podniósł się nieco, spróbował wstać, ale za-

chwiał się, upadł na kolana i wsparłszy się na ręku, zdołał przemówić jedno tylko słowo:

— Danuśka...

Poczem wyrzucił krew ustami i ciemności objęły mu głowę. Danusia chwyciła go przez plecy za ramiona, ale nie mogąc go utrzymać, poczęła krzyczeć o ratunek. Jakoż otoczono go ze wszystkich stron, tarto śniegiem, wlewano wino do ust, wreszcie łowczy Mrokota z Mocarzewa rozkazał położyć go na opończy i tamować krew zapomocą miękkich hubek borowych.

— Żyw będzie, jeśli jeno ziobra, nie pacierze, ma połomione — rzekł, zwracając się do księżnej.

Wszelako inne dworki zajęły się przy pomocy myśliwców ratunkiem pana de Lorche. Obracano nim na wszystkie strony, szukając na zbroi dziur lub wgięć, uczynionych przez rogi byka, ale prócz śladów śniegu, który wbił się między złożenia blach, nie można było znaleźć innych. Tur mścił się głównie na koniu, który leżał obok już martwy, mając pod brzuchem wszystkie swe wnętrzności, pan de Lorche zaś nie był ugodzon. Omdlał tylko wskutek upadku, i jak się pokazało później, rękę prawą miał ze stawu wybitą. Teraz jednak, gdy zdjęto mu hełm i wlano do ust wina, wnet otworzył oczy, oprzytomniał, i widząc pochylone nad sobą zatroskane

twarze dwóch młodych i hożych dworek, rzekł po niemiecku:

— Pewniem już w raju i aniołowie są nade mną?

Dworki nie zrozumiały wprawdzie tego, co powiedział, ale rade, że ożył i przemówił, poczęły się do niego uśmiechać i przy pomocy myśliwców podniosły go z ziemi, on zaś jęknął, poczuwszy ból w prawej ręce, lewą wsparł się na ramieniu jednego z «aniołów» i przez chwilę stał nieruchomo, bojąc się kroku postąpić, gdyż nie czuł się pewny w nogach. Zaczem powiódł mętnym jeszcze wzrokiem po pobojowisku: ujrzał płowe cielsko tura, które z blizka wydawało się potwornie wielkie, ujrzał łamiącą ręce nad Zbyszkiem Danusię i samego Zbyszka na opończy.

— Ten-to rycerz przybył mi z pomocą? — zapytał. — Żywy-li?

— Ciężko pobit – odpowiedział jeden z umiejących po niemiecku dworzan.

— Nie z nim, ale za niego będę się odtąd potykał! — rzekł Lotaryńczyk.

Lecz w tej chwili książę, który poprzednio stał nad Zbyszkiem, zbliżył się do niego i począł go wysławiać: że swoim śmiałym postępkiem ochronił od srogiego niebezpieczeństwa księżnę i inne niewiasty, a może i życie ocalił, za co prócz rycerskich nagród otoczy go chwała

u ludzi, którzy teraz żyją i u potomnych. — «W dzisiejszych zniewieściałych czasach — rzekł — coraz mniej prawych rycerzy jeździ po świecie, bądźcie mi więc gościem jako najdłużej, albo i całkiem na Mazowszu ostańcie, gdzie łaskę moją jużeście zdobyli, a miłość ludzką również łatwie cnymi uczynkami zdobędziecie.»

Rozpływało się od takich słów chciwe na sławę serce pana de Lorche, gdy zaś pomyślał, że tak przeważnego czynu rycerskiego dokonał i na takie pochwały zarobił w owych dalekich ziemiach polskich, o których tyle dziwnych rzeczy opowiadano na Zachodzie, z radości nie czuł prawie wcale bólu w zwichniętem ramieniu. Rozumiał, że rycerz, który na dworze brabanckim lub burgundzkim będzie mógł opowiedzieć, iż na łowach ocalił życie księżnie mazowieckiej, będzie chodził w chwale, jak w słońcu. Pod wpływem tych myśli chciał nawet zaraz iść do księżnej i na klęczkach jej wierne służby ślubować, ale i sama pani i Danusia zajęte były Zbyszkiem. Ów oprzytomniał znowu na chwilę, ale tylko uśmiechnął się do Danusi, podniósł dłoń do pokrytego zimnym potem czoła i zaraz powtórnie omdlał. Doświadczeni łowcy, widząc, jak zawarły się przy tem jego ręce, a usta pozostały otwarte, mówili między sobą, że nie wy-

żyje, lecz doświadczeńsi jeszcze Kurpie, z których niejeden nosił na sobie ślady niedźwiedzich pazurów, dziczych kłów, lub żubrzych rogów, lepszą czynili nadzieję, twierdząc, że róg tura obsunął się między żebrami rycerza, że może jedno z nich, albo dwa są złamane, ale krzyż cały, gdyż inaczej nie mógłby się młody pan ani na chwilę przypodnieść. Pokazywali też, że w miejscu, gdzie upadł Zbyszko, była jakby zaspa śnieżna i to właśnie go ocaliło, albowiem zwierz, przycisnąwszy go międzyrożem, nie podołał zgnieść mu do szczętu piersi, ni krzyża.

Nieszczęściem lekarz książęcy, ksiądz Wyszoniek z Dziewanny, nie był na łowach, choć zwykle na nich bywał, albowiem zajęty był tym razem wypiekaniem opłatków we dworze. Skoczył po niego, dowiedziawszy się o tem, Czech, tymczasem jednak ponieśli Kurpie Zbyszka na opończy do książęcego dworu. Danusia chciała iść przy nim piechotą, lecz księżna sprzeciwiła się temu, albowiem droga była daleka i w parowach leśnych leżały już głębokie śniegi, chodziło zaś o pośpiech. Starosta krzyżacki, Hugo de Danveld, pomógł więc dziewczynie siąść na koń, a następnie, jadąc przy niej tuż za ludźmi, którzy nieśli Zbyszka, rzekł po polsku przyciszonym głosem, tak, aby przez nią tylko mógł być słyszany:

— Mam w Szczytnie cudowny balsam gojący, który od pewnego pustelnika w Hercyńskim lesie dostałem i który mógłbym we trzech dniach sprowadzić.

— Bóg wam wynagrodzi — odpowiedziała Danusia.

— Bóg zapisuje każdy miłosierny uczynek, ale czy mam i od was spodziewać się zapłaty?

— Jako-że mogę wam zapłacić?

Krzyżak przysunął się bliżej z koniem, widocznie chciał coś mówić, ale się zawahał i dopiero po chwili rzekł:

— W Zakonie prócz braci są i siostry... Jedna z nich przywiezie balsam gojący, a wtedy powiem o zapłacie.

XXI.

Ksiądz Wyszoniek opatrzył rany Zbyszka, uznał, iż tylko jedno żebro jest złamane, ale pierwszego dnia nie ręczył za wyzdrowienie, nie wiedział bowiem, «czy się w chorym nie przekręciło serce i czy się w nim wątroba nie oberwała». Pana de Lorche opanowała też pod wieczór niemoc tak wielka, iż musiał się położyć, na drugi dzień zaś nie mógł ni ręką ni nogą bez wielkiego bólu we wszystkich kościach poruszyć. Księżna i Danusia, oraz inne dworki pilnowały chorych i warzyły dla nich wedle przepisu księdza Wyszońka rozliczne smarowania i dryakwie. Zbyszko jednakże ciężko był pobity i od czasu do czasu oddawał krew ustami, co wielce niepokoiło księdza Wyszońka. Był jednakże przytomny i na drugi dzień, lubo jeszcze osłabiony bardzo, dowiedziawszy się od Danusi, komu życie zawdzięcza, przywołał swego Czecha, aby mu podziękować i wynagrodzić. Musiał

jednak przytem pomyśleć, że miał go od Jagienki i że, gdyby nie jej życzliwe serce, byłby zginął. Myśl ta była mu nawet ciężka, czuł bowiem, że nie wypłaci się nigdy poczciwej dziewczynie dobrem za dobre i że będzie dla niej tylko zmartwień i okrutnego smutku przyczyną. Powiedział sobie wprawdzie zaraz: «Toć się na dwoje nie rozetnę», ale na dnie duszy został mu jakby wyrzut sumienia, Czech zaś zaognił jeszcze ów wewnętrzny niepokój.

— Przysiągłem mojej panience — rzekł — na włodyczą cześć, że was będę strzegł, to i będę, bez nijakiej nagrody. Jej to, nie mnie, powinniście, panie, za ratunek.

Zbyszko nie odpowiedział, jeno począł oddychać ciężko, a Czech pomilczał przez chwilę, poczem ozwał się znowu:

— Jeślibyście kazali mi skoczyć do Bogdańca, to skoczę. Możebyście radzi starego pana ujrzeli, gdyż Bóg to wie, co z wami będzie.

— A co powiada ksiądz Wyszoniek? — zapytał Zbyszko.

— Ksiądz Wyszoniek powiada, że pokaże się to na nowiu, a do nowiu jeszcze cztery dni.

— Hej! to nie trzeba ci do Bogdańca. Albo zamrę przedtem, nim stryk nadąży, albo ozdrowieję.

— Posłalibyście choć pismo do Bogdańca.

Sanderus czysto wszystko wypisze. Będą przynajmniej o was wiedzieć i bogdaj na mszę dadzą.

— Daj mi teraz spokój, bom słaby. Jeśli zamrę, wrócisz do Zgorzelic i powiesz, jak co było. Wtedy dadzą na mszę, a mnie tu pochowają, albo w Ciechanowie.

— Chyba że w Ciechanowie, albo w Przasnyszu, bo w boru jeno Kurpie się grzebią, nad którymi wilcy wyją. Słyszałem też od służby, że książę za dwa dni razem ze dworem do Ciechanowa, a potem do Warszawy wraca.

— Przecież mnie tu nie ostawią — odrzekł Zbyszko.

Jakoż odgadł, bo księżna tegoż dnia jeszcze udała się do księcia z prośbą, aby pozwolił jej zabawić w puszczańskim dworcu wraz z Danusią, z pannami służebnemi i z księdzem Wyszońkiem, który przeciwny był prędkiemu przewożeniu Zbyszka do Przasnysza. Pan de Lorche miał się po dwóch dniach znacznie lepiej i począł wstawać, dowiedziawszy się jednak, że «damy» zostają, pozostał także, aby towarzyszyć im w drodze powrotnej i w razie napadu «Saracenów» bronić ich od złej przygody. Skąd się mieli wziąć owi «Saraceni», tego pytania nie zadawał sobie mężny Lotaryńczyk. Nazywano tak wprawdzie na dalekim Zachodzie Litwinów, od nich jednak nie mogło grozić żadne niebez-

pieczeństwo córce Kiejstuta, rodzonej siostrze Witolda, a stryjecznej potężnego »króla krakowskiego», Jagielły. Ale pan de Lorche zbyt długo bawił między Krzyżaki, aby mimo wszystkiego, co na Mazowszu słyszał i o chrzcie Litwy i o połączeniu dwu koron na głowie jednego władcy, nie miał przypuszczać, że od Litwinów zawsze wszystkiego złego można się spodziewać. Tak mówili mu Krzyżacy, a on jeszcze nie całkiem stracił wiarę w ich słowa.

Ale tymczasem zaszedł wypadek, który padł cieniem między gości krzyżackich i księcia Janusza. Na dzień przed wyjazdem dworu przybyli bracia Gotfryd i Rotgier, którzy byli zostali poprzednio w Ciechanowie, a z nimi przyjechał niejaki pan de Fourcy, jako zwiastun niepomyślnej dla Krzyżaków nowiny. Oto zdarzyło się, że goście zagraniczni, bawiący u starosty krzyżackiego w Lubawie, a więc on, pan de Fourcy, a dalej pan de Bregow i pan Majneger, obaj z rodzin poprzednio już w Zakonie zasłużonych, nasłuchawszy się wieści o Jurandzie ze Spychowa, nietylko się ich nie ulękli, ale postanowili wywabić w pole słynnego wojownika, aby przekonać się, czy rzeczywiście jest tak straszny, za jakiego go głoszą. Starosta sprzeciwiał się wprawdzie, powołując się na pokój między Zakonem a księstwami mazowiec-

kiemi, w końcu jednak, może w nadziei, iż uwolni się od groźnego sąsiada, nietylko postanowił patrzeć przez szpary na wyprawę, ale i knechtów zbrojnych na nią pozwolił. Rycerze posłali wyzwanie Jurandowi, który je skwapliwie przyjął pod warunkiem, że ludzi odprawią, a samotrzeć z nim i z dwoma towarzyszami będą się potykali na samej granicy Prus i Spychowa. Gdy jednak nie chcieli ani knechtów odprawić, ani z ziem spychowskich ustąpić, napadł na nich, knechtów wytracił, pana Majnegera sam okrutnie kopią przebódł, a pana de Bregow wziął w niewolę i do piwnic spychowskich wtrącił. De Fourcy jeden się ocalił i po trzechdniowem błąkaniu się po mazowieckich lasach dowiedziawszy się od smolarzy, iż w Ciechanowie bawią bracia zakonni, przedarł się do nich, aby razem z nimi zanieść skargę przed majestat księcia, prosić o karę i o rozkaz uwolnienia pana de Bregow.

Wieści te wnet zmąciły dobre stosunki między księciem i gośćmi, gdyż nietylko dwaj przybyli bracia, ale i Hugo de Danveld i Zygfryd de Löwe, poczęli natarczywie upominać się u księcia, aby raz przecie uczynił sprawiedliwość Zakonowi, uwolnił granicę od drapieżnika i ryczałtem karę za wszystkie winy wymierzył. Szczególniej Hugo de Danveld, mający własne dawne

rachunki z Jurandem, których wspomnienie piekło go bólem i wstydem, upominał się niemal groźnie o zemstę.

— Pójdzie skarga do wielkiego mistrza — mówił — i jeśli sprawiedliwości od Waszej Książęcej Mości nie uzykamy, on sam potrafi ją uczynić, choćby za owym zbójem całe Mazowsze stanęło.

Lecz książę, lubo z natury łagodny, rozgniewał się i rzekł:

— Jakiej-że to sprawiedliwości się domagacie? Gdyby Jurand pierwszy na was nastąpił, wsie popalił, stada zagarnął i ludzi pobił, pewniebym go na sąd wezwał i karę mu odmierzył. Ale wasi to sami go naszli. Wasz starosta knechtów na wyprawę pozwolił, a cóże Jurand? Jeszcze wyzwanie przyjął, a tego jeno żądał, by ludzie odeszli. Jakoże mam go za to karać, albo na sąd pozywać? Zaczepiliście strasznego męża, ktorego się wszyscy boją i dobrowolnie ściągnęliście klęskę na wasze głowy, więc czegóż chcecie? Zali mam mu rozkazać, aby się nie bronił, gdy się wam spodoba go najechać?

— Nie Zakon go napastował, jeno goście, obcy rycerze — odparł Hugo.

— Za gości Zakon odpowiada, a do tego byli z nimi knechci z lubawskiej załogi.

— Miał-że starosta gości jako na rzeź wydać?

Na to książę zwrócił się do Zygfryda i rzekł:

— Patrzcie, w co się sprawiedliwość w waszych uściech obraca i zali wasze wykręty nie obrażają Boga?

Lecz surowy Zygfryd odrzekł:

— Pan de Bregow musi być z niewoli wypuszczon, albowiem mężowie z jego rodu bywali starszymi w Zakonie i wielkie Krzyżowi oddawali usługi.

— A śmierć Majnegera musi być pomszczona — dodał Hugo de Danveld.

Książę, usłyszawszy to, odgarnął na obie strony włosy, i wstawszy z ławy, począł iść ku Niemcom z twarzą złowrogą, po chwili jednak wspomniał widocznie, że byli jego gośćmi, więc pohamował się raz jeszcze, położył rękę na ramieniu Zygfryda i rzekł:

— Słuchajcie, starosto: krzyż na płaszczu nosicie, więc odpowiedzcie wedle sumienia, na ten krzyż! — praw-li był Jurand, czy też nie praw?

— Pan de Bregow musi być z niewoli wypuszczon — odpowiedział Zygfryd de Löwe.

Nastała chwila milczenia, poczem książę rzekł:

— Bóg daj mi cierpliwość.

Zygfryd zaś mówił dalej głosem ostrym, do cięć miecza podobnym:

— Ta krzywda, która nas w osobach gości naszych spotkała to jeno nowa sposobność do skargi. Jak Zakon Zakonem, nigdy, ni w Palestynie, ni w Siedmiogrodzie, ni między dotychczas pogańską Litwą, nie uczynił nam jeden zwykły mąż tyle złego, ile ten zbój ze Spychowa. Wasza Książęca Mość! my sprawiedliwości i kary żądamy nie za jedną krzywdę, ale za tysiąc, nie za jedną bitwę, ale za pięćdziesiąt, nie za krew raz przelaną, ale za całe lata takowych postępków, za które ogień niebieski powinien był spalić to bezbożne gniazdo złości i okrucieństwa. Czyjeż tam jęki wołają o pomstę do Boga? — nasze. Czyje łzy? — nasze! Próżno zanosiliśmy skargi, próżno wołali o sąd. Nigdy nie uczyniono nam zadość!

Usłyszawszy to, książę Janusz począł kiwać głową i odrzekł:

— Hej! nieraz drzewiej Krzyżacy gościli w Spychowie i nie był Jurand waszym wrogiem, póki mu umiłowana niewiasta na waszym powrozie nie skonała. Ale ileż to razy zaczepialiście go sami, chcąc go zgładzić, jako i ninie, za to, że pozywał i zwyciężał waszych rycerzy? Ile razy nasadzaliście na niego zbójców, albo biliście do niego z kusz w boru? Następował ci on was, prawda, bo go piekła zemsta, ale czyliż wy, lub rycerze, którzy na ziemiach

waszych siedzą, nie następowali na spokojnych ludzi na Mazowszu, nie zagarniali stad, nie palili wsi, nie mordowali mężów, niewiast i dzieci? A gdym się skarżył mistrzowi, to mi odpowiadał z Malborga: «Zwyczajna graniczna swawola! Dajcie mi spokój!» Nie wam przystoi się skarżyć, którzyście chwycili mnie samego, bez broni, w czasie pokoju, na mojej własnej ziemi i gdyby nie strach przed gniewem króla krakowskiego, to możebym dotychczas w podziemiach waszych jęczał. Tak odpłaciliście się mnie, który z rodu waszych dobrodziejów pochodzę. Dajcie mi spokój, bo nie wam gadać o sprawiedliwości!

Usłyszawszy to, Krzyżacy spojrzeli po sobie niecierpliwie, gdyż przykro i wstyd im było, że książę wspomniał o zajściu pod Złotoryą wobec pana de Fourcy, więc Hugo de Danveld, chcąc położyć koniec dalszej o tem rozmowie, rzekł:

— Z Waszą Książęcą Mością zdarzyła się omyłka, którąśmy nie ze strachu przed królem krakowskim, ale dla sprawiedliwości naprawili, a za graniczną swawolę mistrz nasz nie może odpowiadać, bo ile jest królestw na świecie, wszędy na granicach niespokojne duchy swawolą.

— To sam to gadasz, a sądu na Juranda wołasz. Czego że chcecie?

— Sprawiedliwości i kary.

Książę zacisnął swe kościste pięści i powtórzył:

— Bóg daj mi cierpliwość!

— Niech Wasz Książęcy Majestat wspomni też i na to — mówił dalej Danveld — że nasi swywolnicy krzywdzą jeno świeckich i nie należących do niemieckiego plemienia ludzi, wasi zaś przeciw niemieckiemu Zakonowi rękę podnoszą, przez co samego Zbawiciela obrażają. A jakichże mąk i kar dosyć na krzywdzicieli Krzyża?

— Słuchaj! — rzekł książę — Bogiem nie wojuj, bo go nie oszukasz!

I położywszy ręce na ramionach Krzyżaka, potrząsnął nim silnie, on zaś stropił się zaraz i począł łagodniejszym głosem:

— Jeśli prawda, że goście pierwsi naszli Juranda i że nie odesłali ludzi, nie pochwalę im tego, ale czy istotnie Jurand przyjął wyzwanie?

To rzekłszy, począł patrzeć na pana de Fourcy, mrugając przytem nieznacznie oczyma, jakby mu chcąc dać do zrozumienia, żeby zaprzeczył, lecz ów, nie mogąc, czy nie chcąc tego uczynić, odrzekł:

— Chciał, byśmy odesławszy ludzi, samotrzeć się z nim potykali.

— Pewni jesteście?

— Na moją cześć! Ja i de Bregow zgodziliśmy się, ale Majneger nie przystał.

Wtem książę przerwał:

— Starosto ze Szczytna! wy lepiej od innych wiecie, że Jurand nie uchybił wyzwaniu.

Tu zwrócił się do wszystkich i rzekł:

— Któryby z was chciał go pozwać na pieszą albo na konną walkę, daję na to pozwolenstwo. Jeśliby Jurand był zabit lub pojman, pan Bregow wyjdzie bez wykupu z niewoli. Więcej ode mnie nie żądajcie, bo nie wskóracie.

Lecz po tych słowach zapadła cisza głęboka. I Hugo de Danveld i Zygfryd de Löwe i brat Rotgier i brat Gotfryd, jakkolwiek mężni, zbyt dobrze znali strasznego dziedzica Spychowa, by którykolwiek z nich podjął z nim walkę na śmierć i życie. Mógł to uczynić chyba człowiek obcy, pochodzący z dalekich stron, jak de Lorche lub Fourcy, ale de Lorche nie był obecny przy rozmowie, zaś pan de Fourcy, nadto pełen był jeszcze wewnętrznego przerażenia.

— Raz go widziałem — mruknął z cicha — i nie chcę widzieć więcej.

Zaś Zygfryd de Löwe rzekł:

— Zakonnikom nie wolno jest w pojedynczej walce się potykać, chyba za osobnem mistrza i w. marszałka pozwoleniem, ale my tu nie po-

zwoleństwa na walkę żądamy, jeno by de Bregow był z niewoli wypuszczon, a Jurand na gardle skaran.

— Nie wy prawa w tej ziemi stanowicie.

— Bośmy do tej pory cierpliwie ciężkie sąsiedztwo znosili. Ale mistrz nasz potrafi wymierzyć sprawiedliwość.

— Zasię mistrzowi i wam od Mazowsza!

— Za mistrzem stoją Niemcy i cesarz rzymski.

— A za mną król polski, któremu więcej ziem i narodów podlega.

— Czy Wasza Książęca Mość chce wojny z Zakonem?

— Gdybym chciał wojny, nie czekałbym was na Mazowszu, jeno szedł ku wam, ale i ty mi nie groź, boć się nie boję.

— Cóż mam donieść mistrzowi?

— Wasz mistrz o nic nie pytał. Mów mu, co chcesz.

— Tedy sami wymierzym karę i pomstę.

Na to książę wyciągnął ramię i począł kiwać groźnie palcem przy samej twarzy Krzyżaka.

— Waruj się! — rzekł stłumionym przez gniew głosem — waruj się! Jam ci pozwolił wyzwać Juranda, ale gdybyś z wojskiem zakonnem wdarł mi się do kraju, tedy na cię uderzę i więźniem, nie gościem, tu osiędziesz.

I widocznie cierpliwość jego była już wy-

czerpana, gdyż cisnął ze wszystkich sił czapką o stół i wyszedł z izby, trzasnąwszy drzwiami. Krzyżacy pobledli ze wściekłości, a pan de Fourcy spoglądał na nich, jak błędny.

— Co tedy będzie? — spytał pierwszy brat Rotgier.

A Hugo de Danveld przyskoczył niemal z pięściami do pana de Fourcy.

— Po coś powiedział, że wyście pierwsi naszli Juranda?

— Bo prawda!

— Trzeba ci było zełgać.

— Jam tu przyjechał bić się, nie łgać.

— Tęgo się biłeś, ni słowa!

— A tyś to nie pomykał przed Jurandem do Szczytna?

— Pax! — rzekł de Löwe. — Ten rycerz jest gościem Zakonu.

— I wszystko jedno, co rzekł — wtrącił brat Godfryd. — Bez sądu nie skaraliby Juranda, a na sądzie rzeczby musiała wyjść na wierzch.

— Co tedy będzie? — powtórzył brat Rotgier.

Nastała chwila milczenia, poczem zabrał głos surowy i zawzięty Zygfryd de Löwe.

— Trzeba z tym krwawym psem raz skończyć! — rzekł. — De Bregow musi być z więzów wydobyty. Ściągniem załogi ze Szczytna, z Insburka, z Lubawy, wezwiem chełmińską

szlachtę i uderzym na Juranda... Czas z nim skończyć!

Lecz przebiegły Danveld, który umiał każdą rzecz na obie strony rozważyć, założył ręce na głowę, namarszczył się i po namyśle rzekł:

— Bez pozwolenia mistrza nie można...

— Jeśli się uda, to mistrz pochwali! — ozwał się brat Godfryd.

— A jeśli się nie uda? Jeśli książę ruszy kopijników i uderzy na nas?

— Jest pokój między nim i Zakonem; nie uderzy!

— Ba! jest pokój, ale my go pierwsi naruszym. Załogi nasze przeciw Mazurom nie wystarczą.

— To mistrz ujmie się za nami i będzie wojna.

Danveld znów się namarszczył i zamyślił:

— Nie! nie! — rzekł po chwili. — Jeśli się uda, mistrz będzie w duchu rad... Pójdą posły do księcia, będą układy i ujdzie nam bezkarnie. Ale w razie klęski, Zakon nie ujmie się za nami i wojny księciu nie wypowie... Innegoby na to trzeba mistrza... Za księciem stoi król polski, a z nim mistrz nie zadrze...

— Wszelako wzięliśmy ziemię Dobrzyńską, to widać nie strach nam Krakowa.

— Bo były pozory... Opolczyk... Wzięliśmy niby zastaw, a i to...

Tu obejrzał się naokół i zniżonym głosem dodał:

— Słyszałem w Malborgu, iż gdyby wojną grozili, to byle nam zastaw wrócono, oddamy.

— Ach! — rzekł brat Rotgier — gdyby tu między nami był Markwart Salzbach, albo Szomberg, który szczenięta Witoldowe wydusił, ci znaleźliby radę na Juranda. Cóż Witold! namiestnik Jagiellów! Wielki kniaź, a pomimo tego Szombergowi nic... Wydusił Witoldowi dzieci i nic mu!... Zaprawdę, brak między nami ludzi, którzy na wszystko potrafią znaleźć sposób...

Usłyszawszy to, Hugo de Danveld wsparł łokcie na stole, głowę na rękach i na długi czas zatopił się w rozmyślaniu. Nagle rozjaśniły mu się oczy, obtarł wedle zwyczaju wierzchem dłoni wilgotne, grube wargi i rzekł:

— Błogosławiona niech będzie chwila, w której wspomnieliście, pobożny bracie, imię mężnego brata Szomberga.

— Czemu tak? Zaliście coś obmyślili? — spytał Zygfryd de Löwe.

— Mówcie żywo! — zawołali bracia Rotgier i Godfryd.

— Słuchajcie — rzekł Hugo. — Jurand ma tu córkę, jedyne dziecko, którą jako źrenicę oka miłuje.

— Ma! znamy ją. Miłuje ją i księżna Anna Danuta.

— Tak. Otóż słuchajcie: gdybyście porwali tę dziewkę, Jurand oddałby za nią nietylko Bregowa, ale wszystkich jeńców, siebie samego i Spychów w dodatku!

— Na krew św. Bonifacego, przelaną w Dochum! — zawołał brat Godfryd — byłoby tak, jako mówicie!

Poczem zamilkli, jakby przestraszeni śmiałością i trudnościami przedsięwzięcia. Dopiero po chwili brat Rotgier zwrócił się do Zygfryda de Löwe:

— Rozum wasz i doświadczenie — rzekł — równe są męstwu; co tedy o tem mniemacie?

— Mniemam, że sprawa warta rozwagi.

— Bo — mówił dalej Rotgier — dziewka jest przyboczną księżnej, ba, więcej, gdyż prawie córką umiłowaną. Pomyślcie, pobożni bracia, jaki powstanie hałas.

A Hugo de Danveld począł się śmiać:

— Samiście mówili — rzekł — że Szomberg wytruł, czy też wydusił Witoldowe szczenięta i cóż mu za to? Hałas oni z byle przyczyny podnoszą, ale gdybyśmy posłali mistrzowi Juranda na łańcuchu, czeka nas pewniej nagroda, niż kara.

— Tak — ozwał się de Löwe — sposobność

do najazdu jest. Książę wyjeżdża, Anna Danuta zostaje tu jeno z dworskiemi dziewki. Jednakże najazd na dwór książęcy w czasie pokoju — nie byle sprawa. Dwór książęcy nie — Spychów. To znów, jak w Złotoryi! Znów pójdą skargi do wszystkich królestw i do papieża na gwałty Zakonu; znów odezwie się z groźbą przeklęty Jagiełło, a mistrz... znacie go przecie: rad on uchwyci, co się da chwycić, ale wojny z Jagiełłą nie chce... Tak! krzyk się podniesie we wszystkich ziemiach Mazowsza i Polski.

— A tymczasem kości Juranda zbieleją na haku — odparł brat Hugo. — Kto wreszcie mówi wam, by ją tu, z dworca, z pod boku księżnej porywać?

— Przecie nie z Ciechanowa, gdzie prócz szlachty jest trzystu łuczników.

— Nie. Ale zali Jurand nie może zachorzeć i przysłać ludzi po dziewkę? Nie wzbroni jej wtedy księżna jechać, a jeśli dziewka w drodze przepadnie, kto powie wam lub mnie: «Tyś ją porwał!»

— Ba! — odrzekł zniecierpliwiony de Löwe — sprawcie, by Jurand zachorzał i dziewkę wezwał...

Na to uśmiechnął się z tryumfem Hugo i odrzekł:

— Mam ci ja u siebie złotnika, który z Malborga za złodziejstwo wypędzon, w Szczytnie

osiadł i który każdą pieczęć wyciąć potrafi; mam i ludzi, którzy, choć nasi poddani, z mazurskiego narodu pochodzą... Zali mnie jeszcze nie rozumiecie?...

— Rozumiem! — zawołał z zapałem brat Gotfryd.

A Rotgier podniósł dłonie do góry i rzekł:

— Niech ci Bóg szczęści, pobożny bracie, bo ni Markwart Salzbach, ni Szomberg, nie znaleźliby lepszego sposobu.

Poczem przymrużył oczy, jakby chciał dojrzeć coś dalekiego:

— Widzę Juranda — rzekł — jako z powrozem na szyi stoi przy Gdańskiej bramie w Małborgu i jako kopią go nogami knechty nasze...

— A dziewka zostanie służką Zakonu — dodał Hugo.

Usłyszawszy to, de Löwe zwrócił oczy na Danvelda, on zaś uderzył się znów wierzchem dłoni w usta i rzekł:

— A teraz do Szczytna nam jak najprędzej!

KONIEC TOMU PIĘĆDZIESIĄTEGO PIERWSZEGO.

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.51
486109

DATE.
NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET